Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 4 września 1938 r. Nr. 36

INWOKACJA

O, studnio! O moja stara studnio!
Daj mi się napić twej czystej wody...
Otom się zmęczył mą drogą żmudną
I pragnę teraz twojego chłodu!

Gdybyś podała mi w wodzie chłodnej
Ten smak przedziwny, ten ekstrakt życia,
Co ludzi smutnych i wiecznie głodnych —
W świat ziszczeń wiedzie z ukrycia...

O, studnio!
Iluż ty ludzi już napoiłaś
I ileż jeszcze pragnień napoisz!...
O, gdybyś tak we mnie dziś ugasiła
Ten wyraz głuszy i niepokoju...

Maria Zemmlerówna



MARIA REUTT

POD OBUCHEM POSĄDZENIA

Dopiero w nocy, gdy cisza zalegała małe pokoiki, wyjmowała fotografie ojca i cisnąc ją do ust płakała gorzko.

W pierwszy dzień Świąt rano poszła z dziewczynkami na Mszę św., popołudnie spędziły u pani Marysi. Drugiego dnia urządziła u siebie zabawę dziecinną.

Trzeci dzień siedziały w domu, bo cały dzień padał śnieg, a nad wieczorem rozszalała się zamieć śnieżna z wichrem. Gdy zmrok zapadł, usiadła do pianina. Bliźniaczki usadowiły się na dywanie po obu stronach jej taboretu. Różowy abażur lampy rzucał półcień na tę śliczną grupę. Natalka grała kolędy i lekkie sztuczki fortepianowe, chcąc zrobić dziewczynkom przyjemność.

Przytulone do jej kolan słuchały z zajęciem, które pierzchło od razu, gdy w drzwiach stanął Juliusz. Nie zwracając uwagi na Natalkę rzuciły mu się na szyję, dusząc go formalnie w uścisku.

— To za lalki — wołały.

* * *

— Pani Natalko, idziemy dziś na dancing, koniecznie — wołała swoim zwyczajem już od progu pani Marysia. — Panie Juliuszu, proszę koniecznie namówić żonę.

— — — — — — — —

W sali panował tłok. Ledwo znaleźli wolny stolik pod oknem na wprost orkiestry. Wśród tańczących migały znajome twarze. Gdy usiedli, muzyka przestała grać i pary rozchodziły się na swoje miejsca.

Ładna, wysmukła panna zbliżyła się wolno do stolika obok, rozmawiając z ożywieniem ze swoim tancerzem, kapitanem piechoty.

Na widok Juliusza twarz jej poróżowiała. Zrobiła ruch jakby się chciała cofnąć, ale opanowała się i spokojnie usiadła obok matki, odpowiadając niedbałym pochyleniem głowy na ukłon Juliusza.

Natalkę zastanowiła bladość męża i pomieszanie i rumieniec na twarzy panny. Nie chciała pytać o nią Juliusza, a tym bardziej pani Marysi, ale ta bez pytania wyjaśniła jej tę zagadkę. Gdy Juliusz wstał, by zatańczyć z żoną kolegi, szepnęła na ucho Natalce:

— To dawna narzeczona pana Juliusza, podobno bardzo się kochali. Nie chciała przerywać nauki w Genewie, czekali na ukończenie przez nią wydziału ekonomii społecznej i spółdzielczości, no i straciła narzeczonego.

Panią Marysię porwał do tańca ktoś z tłumu, pan Niekraszewicz od początku przysiadł się do stolika sądowników i tam ugrzązł na dobre, więc Natalka została sama ze swymi myślami i wrażeniami, wywołanymi usłyszaną nowiną.

Pogoniła wzrokiem za sylwetką panny, tańczącej znów z tym samym kapitanem.

— Ach, więc to ta mistyczna narzeczona — myślała, czując ostry bolesny skurcz serca.



Olbrzymia harmonijka ustna na której grać muszą aż dwie osoby

— Więc to dla ożenienia się ze mną musiał z nią zerwać.

I nagle, niespodziewanie zrodziła się w jej sercu odrobina współczucia dla męża, ale iskierkę tę zgasił podmuch innej, przykrej myśli.

— Kochał ją szalenie, a jednak....

I zacięta, nieprzejednana uraza rozgorzała w jej sercu na nowo.

Przysiadł się do niej sędzia Bruśko-Stempkowski.

— Nie skusi się pani — spytał wskazując głową na salę.

— Jeszcze nie... ale niedługo już będzie pan miał przyjemność tańczenia ze mną.

— Czekać będę z niecierpliwością...

Juliusz wyglądał mizernie, oczy miał zasępione i bolesny grymas koło ust. Nie poszedł więcej tańczyć, ale gdy do ich stolika przysiadła się pani Karen i pani Zenia, poprosił żonę, by poszli do domu.

— Głowa mnie boli.

W milczeniu szli przez puste ciemne ulice, w milczeniu doszli do domu, w milczeniu rozeszli się do swoich pokoi. Nagle już na progu sypialni dobiegły Natalkę słowa Juliusza o brzmieniu głuchym i twardym.

— Widziałaś ją... może teraz zrozumiesz, jak ciężką karę ponoszę za swoją lekkomyślność.

Nie odpowiedziała i cicho zamknęła drzwi za sobą. Oburzenie szarpnęło nią z tak gwałtowną siłą, że aż zatoczyła się na łóżko.

— On to nazywa lekkomyślnością, zabicie niewinnego człowieka i zmarnowanie jej młodego życia.

Wcisnęła głowę w poduszkę i łkała cicho. Młodą była bardzo, więc gdy ze łzami spłynęła pierwsza gorycz oburzenia, usnęła mocnym spokojnym snem.

Juliusz tymczasem chodził noc całą po gabinecie tu i na powrót, starając się uspokoić ból, który mu szarpnął duszę.

— Wróciła, a on nie miał prawa podejść do niej, spojrzeć w jej oczy, powiedzieć o swej tęsknocie.

— — — — — —

Czego pani taka smutna i blada? spytała Natalkę starościna, gdy zebrały się w sali Rady Miejskiej w Magistracie dla szykowania paczek gwiazdkowych dla bezrobotnych.

— Byłam na dancingu, wróciłam późno, źle spałam i dziś głowa mnie boli — tłumaczyła się zmieszana, bo nie cierpiała kłamstwa, choćby najniewinniejszego.

— Prawda, jakie mnóstwo osób było wczoraj... — zwróciła się do niej pani sędzina Borejszyna. Tańczyli do piątej z rana.

— Z powodu tego tłoku i głowa mnie boli. Nie znoszę ścisku.

Rozwiązały się języki pań.

— Podobno pani Kauzikowa wróciła już do męża — powiedziała jedna.

— Nie może być — zaprotestowały inne.

— Ależ tak... — broniła prawdziwości swej wiadomości pani Płużniewska.

— Nie tylko, że ją przyjął, ale podobno pojechał sam po nią i na kolanach ją błagał, by wróciła do niego.

— Co za świat teraz! — dziwowała się panna Morlińska, starsza, ale dobrze zakonserwowana osoba.

A w rzeczywistości sprawa z panią Kauzikową miała następujący przebieg:

Kiedy ją mąż wyrzucił z domu, leżała parę dni w szpitalu, a gdy poczuła się lepiej pojechała do Rzęślina, majątku pana Marka Horeglada.

Tymczasem piękny Marek po awanturze ze zdradzonym mężem otrzeźwiał i ochłódł w zapałach miłosnych dla pięknej pani, tym więcej, że w międzyczasie upatrzył sobie podobno posażną pannę z pod Brześcia i wobec tego pobyt pani Kauzikowej w Rzęślinie, był mu bardzo nie na rękę.

Dał jej to poznać za pośrednictwem „mamy" Horeglafowej, a sam pojechał w konkury do panny. Pani Kauzikowa uderzyła w lament. — Skompromitował ją, musi jej dać zadośćuczynienie. Musi rozwieść ją z mężem i ożenić się z nią. Tu nie ma innego wyjścia. Ale mama Horegladowa, zażywna i mocno energiczna jejmość stanęła twardo przy swoim. Żadnych głupstw, komedii, żadnego rozwodu.

Na takie „dictum" pani Kauzikowa zagroziła sądem. — Jest w ciąży z przyczyny Marka. Zażąda sądownie sześciu tysięcy dolarów amerykańskich odszkodowania, lub stałej miesięcznej pensji, wynoszącej 10 proc. od całej sumy. Nie nastraszyła jednak tym energicznej niewiasty.

— Dam pani 10 tysięcy złotych odczepnego!

Na to pani Kauzikowa zerwała się z miękkiej, staroświeckiej kanapy, na której

z wdziękiem usadowiła swe smukłe ciało, czerwona z oburzenia:

— Cooooo? dziesięć tysięcy złotych! Plunęła pogardliwie przez ramię poza siebie. — Gdy przyjdzie do sądu, to okaże się, że sto tysięcy będzie jeszcze za mało.

Zadarłszy głowę do góry, teatralnym ruchem królowej, wyszła bez pożegnania z mieszkania pani Haregladowej.

— Ach, the Marek — westchnęła (staruszka), ocierając pot z czoła. Zadumała się, a było nad czym. Jednego, jedynego syna, tego utrapionego Marka miała na świecie, kochała go tą ślepą, bezgraniczną miłością matki i drżała ustawicznie o niego, bo też dawał on jej stale powody ku temu. Nie grał, nie pił, nie uprawiał karkołomnych sportów, nie stawał do żadnych zawodów, ale za to był kochliwy, i gustował w starszych od siebie mężatkach, narażając się na różne nieprzyjemne przejścia.

Gdy dobrze nabroił, gdy groziło mu niebezpieczeństwo uwikłania się w nieprzyjemną awanturę, szedł wówczas do niej z żądaniem: „mamo, ratuj".

I mama otwierała żelazną kasetkę, gdzie trzymała pieniądze i zabierała się do ratowania z opałów jedynaka.

I tym razem wierna stara służąca Mania pobiegła z listem do zdolnego, wybijającego się adwokata, który w dużej mierze zawdzięczał jej swoją karierę.

Zjawił się tego samego popołudnia.

Wyciągnęła do niego błagalnie ręce.

— Panie Tomaszu, ratuj Marka.

Uśmiechnął się, całując ją w ręce.

— Co tam znów nabroił następca tronu? pytał żartobliwie, siadając naprzeciw niej.

— Och, odsapnęła — co mnie ten mój Marek kosztuje i zdrowia i pieniędzy. Niech sobie pan wyobrazi, była dziś u mnie ta wstrętna Kauzikowa...

No, wstrętna to ona nie jest, wprost przeciwnie — przemknęło przez myśl adwokatowi.

— Chce sześćdziesięciu tysięcy złotych okupu za odczepienie się od Marka.

— Niech jej pani da sześć...

— Kiedy nie chce — płaczliwie wyjaśniała pani Horegladowa — dawałam dziesięć tysięcy, odrzuciła, grozi sądem.

— Fiu... — gwizdnął adwokat — takie buty!

Poprawił się na siedzeniu.

— Niech mi pani opowie szczegółowo jej wizytę.

I pani Hareglad, postękując i wzdychając powtórzyła mu całą rozmowę z panią Kauzikową.

Adwokat chwilę namyślał się, przebierając machinalnie palcami obu złożonych razem dłoni, wreszcie zadecydował.

— Gdy ta pani przyjdzie raz jeszcze lub przyśle kogoś, niech jej pani oświadczy: — Daję odczepnego sześć tysięcy, ani grosza więcej. — Nie zechce, niech podaje do sądu o alimenty, a wtedy pani oświadczy, że alimentów płacić nie będziecie, ale o ile urodzi się dziecko, to syn pani weźmie je na wychowanie i zagwarantuje mu zapis. Zobaczy pani, że zmięknie, do sądu nie poda, weźmie skwapliwie te sześć tysięcy i okaże się, że ten „poważny stan" to fikcja, wymyślona dla szantażowania pani. Naiwny tylko mógłby się nabrać na to twierdzenie. — Czy kto znający te panie uwierzyłby, że one, niechcące mieć dzieci z mężem, będą puszczały się na takie eksperymenty z kochankami.

— — — — — — — —

Wszystko odbyło się tak jak przepowiedział adwokat.

W trzy dni po rozmowie z adwokatem, w przedpokoju mieszkania pani Haregladowej rozległ się energiczny dzwonek i młody, buńczuczny głos spytał służącej:

— Czy pani jest w domu?

— Kogo mam zameldować mojej pani — pytaniem na pytanie odpowiedziała służąca.

— Panią Milewczykową w sprawie pani Kauzikowej.

Służąca wyszła, by powrócić za chwilę i wskazać gościowi drogę do salonu, gdzie czekała już pani Horegladowa.

— Jestem Milewczykowa — przedstawiła się pani domu przybyła.

— Bardzo mi przyjemnie — odpowiedziała pani Horegladowa, wskazując jej miejsce na krzesełku i udając, że nie widzi wyciągniętej na powitanie ręki.

— Proszę, niech pani siada i wyjaśni mi powód swej wizyty.

Buta i arogancja wystrojonej pani opadła trochę. Ciszej i pokorniej brzmiał ton jej głosu, gdy mówiła:

— Pani Kauzikowa poleciła mi dowiedzieć się, co pani zadecydowała: czy zapłacić, żądaną przez panią Kauzikową sumę, czy też ma ona sprawę tę skierować do sądu.

— Moja pani — odpowiedziała spokojnie pani Horegladowa — za moich czasów taką panią i za taką propozycję wyszczuto by psami, zrzucono ze schodów. Ale czasy się zmieniają i ja stara kobieta, której życie całe było uczciwe i czyste muszę spokojnie siedzieć i wysłuchiwać podobnych bezwzględnych propozycji. Niech pan oświadczy swej przyjaciółce, że dziś daję jej tylko cztery tysiące złotych, by się od niej odczepić. Jeżeli nie zechce, niech podaje do sądu, ale może być pewna, że w sądzie nic nie skóra, nic nie uzyska tą drogą ani od mego syna, ani ode mnie. Jeżeli naprawdę tu pani Horegladowa położyła nacisk na „naprawdę", pani Kauzikowa jest w ciąży, to w sądzie zgłoszę propozycję wychowania i zaadeptowania tego dziecka. A teraz żegnam panią, bo muszę wyjść do miasta.

— — — — — —

W dwa dni później znów zabrzęczał dzwonek w mieszkaniu pani Horegladowej, ale nieśmiało i cicho. Tym razem przyszła matka pani Kauzikowej, stara kobiecina w wytartym palcie i chustce na głowie, zastrachana, onieśmielona.

Córka wysłała ją, by tę przykrą sprawę zakończyć i załatwić. Córka nic by nie żądała, ale zięć ma długi i tylko dlatego ona zgodzi się na tak marną sumę złotych dziesięć tysięcy i zrezygnuje z wszelkich dalszych pretensji.

— Cztery tysiące — ani grosza więcej!

— To za mało. Niech pani doda — prosiła kobiecina — choć z tysiąc jeszcze. Moja biedna Ewunia tyle się nacierpiała i bólu i wstydu przez pani syna. Przecież mąż, jak złapał ich wtedy razem rzucił się do bicia pana Horeglada. Moja córka zasłoniła go sobą, to rzucił się na nią i skopał ją i zbił, posiniaczył, aż litość brała. Miała od tych razów sińce cały miesiąc...

— Niech będzie pięć tysięcy, ale ani grosza więcej. Może jej pani powiedzieć, żeby zgłosiła się jutro do kancelarji adwokata Tomasza Porańskiego, to on jej wypłaci te 5 tysięcy i weźmie od niej deklarację, że pretensje jej zostały wyrównane.

Kobiecina ukłoniła się i szła ku drzwiom; była już na progu, gdy pani Horeglad odezwała się:

— Ja wychowałam źle swego syna, ale pani wychowała swoją córkę bodaj gorzej. Gdyby była bezdzietną rozwódką, wdową, panną wreszcie, ale mężatka, matka dzieci... i takie brudy!

— To wojna zrobiła, proszę pani — żałosnym tonem usprawiedliwiała się staruszka.

— Co, wojna! niecierpliwie wzruszyła ramionami pani Horegladowa. Jak wojna się zaczęła, to pani córka miała dwadzieścia lat na pewno skończonych. Wojna już tu nie miała nic do zrobienia, jedynie do rozepsucia tego, co nie było mocno zbudowane.

— — — — — —

Przechodząc z panią Marysią ulicą Kościuszki Natalka spotkała się oko w oko z panią Kauzikową, idącą w towarzystwie pani Wilczewczykowej i młodego porucznika, który kręcił się koło niej od dłuższe-



Mimo swego afrykańskiego pochodzenia — żyrafy odczuwają również silne pragnienie w goretsze dni.

go już czasu. Ubrana była w nowe futro i aksamitny modny toczek. Twarz jej promieniała weselem i radością życia. Mijając ich pani Kauzikowa ukłoniła się z wdziękiem i czarującym uśmiechem. Natalka przeszła mimo, nie odpowiadając na ukłon, zaskoczona jej bezczelnością, pani Marysia natomiast odkłoniła jej się bardzo uprzejmie. Natalka była oburzona.

— Jak ona śmiała nam się ukłonić!

— Cóż pani chce... wczoraj widziano ją w Adrii w towarzystwie sędziny Buźnickiej, inżynierowej Wiechcińskiej i pani Karen. Był z nimi i wicedyrektor banku i major Płotek i ten nowy doktór Nalepiński. Bawili się podobno świetnie i wesoło do samego rana. Ona miała na sobie śliczną nową suknię od Hersego, no, a widziała pani futro na niej? Mąż jej kupił podobno za pieniądze, otrzymane od Haregladowej. Byli oboje razem z mężem w Warszawie kilka dni, by się zabawić za pieniądze Marka. Opłacił jej się flirt z Markiem — dodała jakby z zazdrością.

— Czy pani włożyłaby futro kupione za pieniądze z takiego źródła? — zagadnęła Natalka obcesowo panią Marysię.

Ta ostatnia nie obraziła się.

— Naturalnie, że nie. Lubię się bawić, flirtować, być otoczoną przez mężczyzn, ale romansować... wystarcza mi do tego mój Jurek.

— — — — — —

W rocznicę śmierci ojca, piątego stycznia Natalka z dziewczynkami poszła raniutko na Mszę św. Stamtąd pojechały na cmentarz. Chodziła z nimi po pustych zaśnieżonych alejach i mówiła im o ojcu, o jego miłości do nich i dobroci, o tym, że powinny zawsze kochać i czcić jego pamięć.

— — — — — —

Wybrali się z mężem do pani Karen na ten proszony „bridż".

Gdy weszli, całe zaproszone towarzystwo już było zebrane, te same twarze, ci sami ludzie: pani Lunia z mężem, państwo Niekraszewiczowie, kilku adwokatów, kilku sędziów z żonami i bez, paru urzędników bankowych i samorządowych no i pan Horeglad, który pozbywszy się niewygodnej i kapryśnej kochanki, rozglądał się za nową zabawką oraz panna Niusia.

Ładna panna w chwili ich wejścia zajęta rozmową z panem Horegladem. Zgrabnym, swobodnym ruchem podała rękę Natalce i Juliuszowi bez cienia przykrości, lub zakłopotania.

— Miło mi poznać panią — zagaiła rozmowę stereotypowym wyrażeniem, robiąc jej miejsce obok siebie. — Jak się pani podoba Wjunogród.

— Okropny — wzdrygnęła się Natalka.

— Aż tak? — zaśmiała się panna, ubawiona jej szczerością. Była od niej starsza i więcej wyrobiona towarzysko i bawiła ją prostota Natalki.

— Tak, i miasto jakieś takie dziwne i ludzie inni niż wszędzie chyba...

— Ma pani słuszność — potwierdziła. — Polesie to inny kraj. Odrębny, swoisty, i ludzie też inni. Zamknięci w głuszy błotnej i puszczach leśnych zdziwaczeli wypaczyli się duchowo, nabrali odrębnych zwyczajów i obyczajów zdegenerowali się przez sałe żenienie się i obcowanie tylko samych z sobą, ale dobry pierwotny to naród niezepsuty i nie fałszywy. Ot na



Toaleta olbrzymiego żółwia mieszkańca londyńskiego Zoo, który „obchodził" 100-lecie żywota

przykład ja. Nie mam zamiaru mówić pani, że postępek Juliusza w stosunku do mnie zrobił mi przyjemność, ale zupełnie szczerze muszę przyznać, że teraz, jak poznałam panią i zobaczyłam, jak jest śliczna, nie dziwię się, że się w pani zakochał.

Natalka poczerwieniała gwałtownie na ten nieoczekiwany komplement i oczy jej zaszły łzami.

— To był taki tragiczny splot wypadków jedynie, a nie miłość — szepnęła.

W tej samej chwili zbliżył się do nich pan Horeglad, który z Juliuszem omawiał sprawę zatargu swego z chłopami z sąsiedniej wsi.

— Co za rumieńce — przekomarzał się.

— Usłyszała pani Natalka komplement ode mnie, że jest śliczna — roześmiała się panna Niusia — i zaczerwieniła się jak pensjonarka.

— To pani tak nieprzyzwyczajona do komplementów — zdziwił się szczerze. Nie, to paradne — śmiał się. — Juliuszu — zawołał — słuchaj, co z ciebie za mąż, żeby żona czerwieniła się za najmniejszym, najskromniejszym komplementem.

Ale Natalka już odzyskała równowagę, opanowała zmieszanie.

— Och, jej! niby to mężowie mówią kiedy komplementy żonom.

— Cudzym! — odcięła się — ale zobaczymy jak to będzie z tymi komplementami, gdyż pan się ożeni.

— To będzie zależeć od żony. Pani powtarzałbym ciągle do znudzenia, że jest uroczą, śliczną, przemiłą, najcudniejszą najadą.

— Panie, stracony trud. Mam lat 18 zaledwie, a pan uznaje kobiety tylko w wieku balzakowskim.

— Pani jest wyjątkiem...

Natalka przechyliła zalotnie głowę w jego stronę:

Panie, jestem mile połechtana w swej kobiecej ambicji pana komplementami.

Niusia tymczasem rozmawiała z Juliuszem, który usiadł obok niej z drugiej strony.

— Ładną i miłą masz żonę.

Juliusz spojrzał na Natalkę. Wyglądała ślicznie z tymi błyskami zalotnymi w oczach i rumieńcem podniecenia na twarzy.

— Ładna — potwierdził — ale gdy się z nią ożeniłem, nie myślałem o jej urodzie.

— Wierz mi Niusiu, że zrywając z tobą, byłem najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie — dokończył szeptem, widząc zbliżającą się do nich panią Marysię. Siedziała przy mężu, który grał w brydża, lecz widać znudziło jej się siedzenie na jednym miejscu, więc wróciła do salonu, by się przyłączyć do niegrającego kółka. Podeszła do gramofonu i nakręciła go.

— Panie Stachu, tańczyć — zakomenderowała, podając rękę młodemu aplikantowi sądowemu.

— Nie skusi się pani? — spytał pan Horeglad, wstając.

— Owszem.

Wstała również.

Prowadził ją zręcznie i umiejętnie.

— Ależ pani tańczy jak baletnica!

Nie czuł jej w ramionach, tak lekko kołysała się w takt muzyki. Nie miała nic ze sztywności osoby, która dawno nie tańczyła, a jednak nie poddawała się jego ruchom bezwolnie, trzymała się cokolwiek odchylona, tak, że nie stykali się ciałem. Było w tym jej trzymaniu się i rezerwa nieobudzonych zmysłów i dziewiczości i pewnego chłodu wrodzonego.

Patrzył jej w oczy znacząco i kusząco. Nie zrozumiała mowy tych spojrzeń, nie odczuła ich, nie zmąciły się jej źrenice, serce w piersiach nie zatłukło mocniej.

Widziała w nim jedynie tancerza, gdy jemu zmysły wypełzały na usta, uderzały do głowy, rozpalały krew, przyspieszały tętno. W tej chwili była ona dla niego kobietą pożądaną nade wszystko, jedną na cały ten barwny, uszminkowany tłum kobiet.

Gdy usiedli, nerwowo zapalił papierosa.

— Niech pani zgadnie, kogo mi pani przypomina.

Podniosła brwi ruchem pytającym.

— Królewnę Śnieżkę, śliczną, zimną, niedostępną.

Zarumieniła się. Po chwili odpowiedziała trochę porywczo, trochę ironicznie.

— A tak, panowie w czasach obecnych lubią jedynie panie przytulne i przytulające się, jak nasza gospodyni.

Roześmiał się ubawiony.

— Zapomina pani, że bujna przeszłość pani Karen przypada na dziewiętnaste stulecie.

— Przesadza pan trochę.

— Może, ale na pewno jest starszą od matki pani, i to dobrze starszą.

— Przypuszczam, że tak — przyznała.

— No więc proszę nam nie wymyślać od obecnych czasów, bo one mało odbiegły od dawniejszych, pozornie tylko, o tyle, że dawniejsze panie nosiły długie suknie, zapinane na rzędy pracowicie wszytych haftek, wysokie buciki, gorsety i to wszystko wymagało dużo czasu od kobiet i więcej cierpliwości ze strony mężczyzn. Dziś pantofelki zlatują za lada trząśnięciem nogą, suknie i bielizna opadają za jednym ruchem ramion.

— Cynik z pana — oburzyła się szczerze.

— Nie cynik, a człowiek współczesny — zaprotestował — a pani boginka leśna,

królewna śnieżka, czekająca na miłość wielką, gorącą.

Zaczerwieniła się mocno. Była zła na niego.

Za dużo sobie pozwala — myślał z irytacją.

— Niech pani nie marszczy brwi z niezadowoleniem, bo to jest prawda i to wielka prawda. Przekona się pani w swoim czasie. Nic nie pomoże oburzać się. Doczeka się pani, że przyjdzie ono do niej bez pukania i olśni ją do oślepienia, ogłuszy do omdlenia, porwie jak wicher, bez względu na męża, na sakrament i cnoty niewieście, które pani tak propaguje w swej naiwności .

— Nie wiedziałam, że z pana taki poeta — ironizowała ,chcąc przerwać tę rozmowę, bo już zaczęło spoglądać na nich z uśmieszkami domysłów.

— Dużo rzeczy nie wie pani o życiu i o mnie. Patrzy pani na świat oczami niewidzącego niemowlęcia. Rozpoznaje pani kontury, zarysy, ale nie dostrzega szczegółów.

— Dosyć tej rozmowy na osobności, dosyć tego gruchania — przerwała im pani Karen. — Lepiej niech pan ze mną zatańczy.

Założyła nową płytę i stała przed nim ze swym charakterystycznym ruchem ramion, podanych naprzód.

— Chce pan spróbować smaku niedojrzałych winogron — zagadnęła go, gdy wkręcili się w koło tańczących.

— Zazdrości pani — odciął się.

— A zazdroszczę — rzuciła wyzywająco.

Spojrzał jej drapieżnie w zamglone źrenice.

— Spróbować można dla rozmaitości, jak smakuje taka stara baba — pomyślał.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

— Kiedy pani bywa sama w domu?

Rozpromieniła się.

— Codzień jestem dopołudnia w domu. Choćby jutro.

Pomyślał.

— Jutro?... nie, w piątek!

— A więc czekam...

— — — — — — —

Zapomniał jednak o piątku, a ona czekała w pięknym negliżu, wyperfumowana, wymalowana, z nerwami napiętymi, jak cięciwa łuku.

Zapomniał, bo zajął się Natalką.

Wpadał do niej za każdą bytnością w mieście, przynosił cukierki, nowe książki, a nawet kwiaty. Węchem wytrawnego uwodziciela przeczuł, że między nią a mężem panowały stosunki mocno naprężone i oficjalne.

Natalka przyjmowała bardzo obojętnie i jego wizyty i prezenty, odmawiała zaproszeń do kina lub cukierni.

Widząc, że nic nie wskóra użył jako parawanu pani Karen.

Spotkał ją, gdy wychodziła z czytelni.

— Ach, jak się cieszę ze spotkania — zawołała ze szczerą radością. Chodźmy do Michalewicza na ciastka.

Zaskoczona tym serdecznym przywitaniem, zapomniała urazy za doznany zawód.

Gdy skręcali w ulicę Marszałka Piłsudskiego zatrzymał się, jakby tknięty jakąś myślą.

— Wie pani, chodźmy po panią Natalkę.

Aha, tu cię wiodą — pomyślała pani Karen z uczuciem zawodu, ale zawróciła na Nadbrzeżną.

Natalkę zastali samą w domu.

— Przyszliśmy panią porwać — oświadczyła pani Karen. — Idziemy na ciastka.

— I bez porywania pójdę z państwem z przyjemnością, gdyż dziewczynki są na wizycie u pani Marysi. Czyjeś imieniny dziś tam wypadają.

Poprawiła włosy muśnięciem ręki, włożyła berecik na głowę, nie przejrzawszy się nawet i była już gotowa do drogi.

— Bodaj to młodość — pomyślała z westchnieniem pani Karen. — Jej na wybranie się gdziekolwiek trzeba było co najmniej godziny, gdy ta dziewczyna w niecałe pięć minut była już gotowa, elegancka i śliczna.

— — — — — — — —

Pani Karen bardzo gorliwie przejęła się swoją rolą swatki, a właściwie rajfurki. Nie uważała tego za niestosowne, bawiło ją to, no i przynosiło dużą dozę korzyści. Od czasu zamieszkania w Wjunogrodzie nie bawiła się nigdy tak dobrze jak w tym okresie. Kino, cukiernia, przejażdżki sankami były na porządku dziennym. Natalka w swej niewinności i naiwności nie poznała się ani na roli, jaką pani Karen wzięła na siebie, ani na zabiegach pana Horeglada.

Nie widziała w tym nic dziwnego, że pani Karen namówiła ją na kino, a tam na miejscu pan Horeglad czekał już z biletami, to przyszła z nim, by zaproponować Natalce szlichtadę, a robiła to zawsze, gdy Juliusz był w sądzie.

* * *

W końcu stycznia przyjechała matka po bliźniaczki. Zatrzymała się tylko od pociągu do pociągu. Zdjęła już żałobę i w popielatej sukni i zielonym kapeluszu wyglądała bardzo ładnie i elegancko, odmłodzona, odświeżona, pełna zadowolenia z siebie i życia. Mówiła dużo o sztuce, o sezonie teatralnym. Zachwycała się Hanką Ordonówną i Lodą Halamą, za to nie wiedziała, kto w obecnym sezonie był primaballeriną w operze i jaka była obsada tej opery. Wspominała o kawiarniach, kabaretach, szczególniej zachwycała się Italią, gdzie gra taka świetna orkiestra.

Jak ona młodo wygląda — pomyślała Natalka — a przecież ma już około czterdziestki. — Nikt by jej nie posądził, że jest moją matką!

Dziewczynki bardzo niechętnie przyjęły wiadomość, że muszą już odjeżdżać. Popłakiwały po kątach, gdy Natalka pakowała ich rzeczy. Tym pakowaniem odgrodziła się od matki, od jej pytań i bezmyślnej, bezładnej paplaniny, która ją tak drażniła i męczyła.

Przyjście Juliusza z sądu uwolniło ją od przymusu słuchania opowiadań matki, od jej towarzystwa. Na niego zwróciła swą elokwencję piękna pani.

Wyciągnięta na fotelu w kuszącej pozie, kokietowała go swą strojną sylwetką i wyzywającą miną. Oczy jej bezwstydne przypominały tamte minione chwile, poufałe sam na sam.

Juliusz zdawał się nie spostrzegać ani jej pozy, ani tych spojrzeń. Wyginając nerwowo palce, mówił o pogodzie, o zmianie burmistrza, o kochliwym prezesie sądu, o rozwodzie naczelnika Urzędu Skarbowego, o wycieczce turystów zza granicy do Wołańskich Mostów, o przystani kajakowej, którą zaczęto budować. Mówił bez przerwy, jakby bał się, by go nie zaskoczyła jakim niedyskretnym pytaniem.

Oboje z Natalką odwieźli ją z dziećmi na kolej. Bliźniaczki płakały rzewnymi łzami. Józia, uwiesiwszy się u szyi Juliusza, nie chciała go puścić. Musiał ją przemocą oderwać i postawić w wagonie.

— — — — — — — —

W domu uderzyła ich cisza. Przyzwyczaili się przez te kilka tygodni pobytu dziewczynek do gwaru, do ich dziecinnego beztroskliwego śmiechu i niemile zaciążyła obojgu pustka i cisza, która nastała po ich wyjeździe.

Gdyby ich małżeństwo było normalnym związkiem, spajającym dwoje ludzi wzajemnym przywiązaniem i wspólnością duchową, pustka ta nie byłaby tak dokuczliwa. W tej tęsknocie za dziewczynkami Natalka z radością powitała wizytę pani Karen.



Ostatni dzień wakacyj

— Może pani pójdzie ze mną do miasta, muszę sobie torebkę kupić — spytała Natalki.

— Dobrze się składa, bo wybieram się po owoce do Fajersztejna.

Gdy załatwiły sprawunki pani Karen namówiła Natalkę, by wstąpiły do cukierni. Zmrok już zapadał, na dworze sypał drobny śnieg, ścieląc biały całun na słabo oświetlone ulice. Z okien cukierni kładły się jasne smugi na biel śnieżną, sączyły się dźwięki muzyki.

Pierwszą osobą, którą ujrzeli siedzącą samotnie przy stoliku był pan Horeglad. Pani Karen wydała okrzyk przyjemnego zdziwienia. Dobrze zagrała swoją ro'ę, gdyż to spotkanie było umówione.

Gdy tak siedzieli razem i młody obywatel wysilał cały swój dowcip i czar, by ujarzmić tę swoją „Królewnę Śnieżkę" do cukierni wszedł Juliusz z sędzią Prągowskim. Na widok żony w towarzystwie Horeglada zmarszczył brwi. Podszedł do nich.

— Podobno co siedem lat zmieniają się gusty — odparował obywatel, obracając powiedzenie Juliusza w żart.

Juliusz nie ustępował. Przyprowadził sędziego do Natalki. Usiedli wszyscy razem. Pan Horeglad pożegnał się wcześniej od innych. Był zmieszany i trochę nieswój. Może przyszły mu na myśl cięgi, otrzymane od Kauzika, dość że stracił na humorze.

Pani Karen odprowadziła Natalkę do domu, ale nie wprosiła się do niej. Spieszyła, by po znajomych roznieść wiadomość o tym spotkaniu w cukierni. Wietrzyła awanturę w domu Natalki, scenę zazdrości, łzy, gniewy. Jej bujna wyobraźnia poszybowała daleko i ułożyła cały melodramat na żer plotkarkom.

— — — — — — — —

Pani Karen nie wytrzymała i już na drugi dzień przyszła wieczorem do Natalki. Skończyli właśnie kolację. Radio wygrywało jakieś arie z operetek, w pokoju było jasno, ciepło i przytulnie. Natalka wyszywała serwetę, Juliusz przeglądał gazetę.

Natalka powitała ją przyjaznym uśmiechem, Juliusz uprzejmie odstąpił jej swój fotel, a sam usiadł obok radia. Nie znosił tej rozpróżniaczonej, bezdusznej, starej plotkarki, która za każdym spotkaniem wdzięczyła się do niego niedwuznacznie. I dziś, strojąc zalotne minki dwudziestoletniej dziewczyny, zaczepiła go rozmową:

— Taką miałyśmy niespodziankę w cukierni wczoraj, spotkawszy tam pana Horeglada, który wprosił się do naszego towarzystwa, a potem panów.

Juliuszowi wspominali już na mieście o niedwuznacznym nadskakiwaniu pana Horeglada Natalce i dlatego też, nie patrząc na nią, powiedział:

— Jak pani znów się spotka z Markiem, niech go pani uprzedzi mimochodem, że ja nie jestem ani panem Kauzikiem, ani Masłowem.

— Ach, proszę pana — zaprotestowała gorąco — Marek wcale nie ma zamiaru...

— Ja też nie przypuszczam nic podobnego — przerwał jej — ostrzegam tylko tak, na wszelki wypadek, bo nie lubię nieprzyjemnych powikłań.

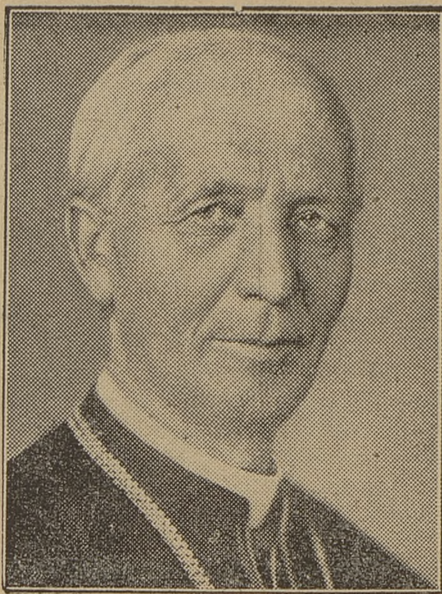
Natalka z trudem powstrzymywała uśmiech, rwący się jej na usta, widząc zmieszanie pani Karen. Kręciła się ona niespokojnie na fotelu, wreszcie pod pozorem, że mąż na nią czeka, wyszła spiesznie.

Biedny mąż, on zawsze sam spędzał wieczory. Dotrzymywał mu towarzystwa jedynie stary kot, przywieziony jeszcze z Bolszewii, bo czuła żona rzadko kiedy zjawiała się w domu w czasie posiłków i wieczorami.

— Wstrętna rajfurka — mruknął ze złością Juliusz, siadając z powrotem w fotel.

— Gdyby ona to słyszała — zauważyła żartobliwie Natalka — byłaby niepocieszona, takie słodkie minki robi do ciebie, takie obiecujące rzuca spojrzenia, licząc na to, że może z czasem usidla cię nimi.

— Daremny trud!



Umarł ks. Hlinka przywódca Słowaków, liczący lat 74. Był on niestrudzonym bojownikiem o prawa narodowościowe Słowaków na terenie polityki europejskiej.

* * *

Było to w połowie marca. Śnieg stopniał tworząc kałuże na ulicach, pokrywając lepką brudną cieczą chodniki, w powietrzu zapachniało wyziewami śmietników i stajen.

Tak, wiosenne zapachy małych miasteczek nie nadają się do poematów!

Juliusz szedł wolno po oślizgłych płytach kamiennych, nierównych, powyginanych, pozapadanych, uważając, by się nie poślizgnąć i nie upaść.

Zatrzymał go wartki szeroki potok ścieków z szumem pędzących w dół poprzecznej ulicy. Ktoś praktyczny przerzucił nad tym potokiem deskę, ale deska była dosyć wąska i zgniła i groziła załamaniem się. Trzeba było iść gęsiego i czekać cierpliwie swej kolejki. Przy takim potoku spotkał się z Niusią. Wracała do domu. Poszli razem ulicą Piłsudskiego. Za dwa tygodnie miała jechać do Genewy na ostateczne egzamina.

— Czy wrócisz tu po ukończeniu — zapytał ją.

Potrząsnęła głową. Oczy jej spochmurniały i usta wygięły się w podkówkę, jak u małego dziecka podczas płaczu.

— Wątpię — odpowiedziała wolno. Prawdopodobnie osiedlę się w Warszawie, tym więcej, że mój narzeczony został asystentem profesora Pawłowskiego.

— Masz narzeczonego — zdziwił się nieprzyjemnie.

Spojrzała na niego z ukosa.

— Chciałbyś, bym nosiła wieczną po tobie żałobę! Minął już wiek dziewiętnasty, w którym każdy zawód miłosny musiał być opłacony samobójstwem u nas i w Austrii. Wisła i Dunaj pochłonęła dużo takich ofiar. Dziś nad każdym zawodem w życiu przechodzi się do porządku dziennego.

— Nusiu, żebyś ty wiedziała...

Zrobiła wyniosłą minę.

— Po co odgrzebywać stare dzieje — rzuciła niechętnie.

— Kiedy one nie są stare. One mnie pieka, bolą, Niusiu, — mówił błagalnym głosem.

— Mój kochany, musisz być konsekwentny. Rzuciłeś mnie, choć wiedziałeś, że cię kochałam ,że będę cierpieć, ożeniłeś się z inną, więc, widocznie to małżeństwo odpowiadało ci lepiej ,niż ze mną.

— Niusiu, wierz mi, że w chwili zerwania z tobą byłem bliski samobójstwa i gdyby nie rodzice, nie wzgląd na nich, nie wiem, czy nie sięgnąłbym po broń.

— Po co ta rozmowa — przemówiła z żalem .— I tak się już na nic nie zda powracać od tego przedmiotu, odrapywać stare rany.

Juliusz dyszał ciężko i twarz miał szaro bladą, o odcieniu kredy.

— Niusiu, powiedz przynajmniej, że mi przebaczyłaś.

— Zmienił pan gust — powiedział do Horeglada, witając się z nim — i to krańcowo.

— Jeżeli ci to ulży, to mogę cię zapewnić, że nie czuję już obecnie żadnej urazy do ciebie.

Pocałował ją w rękę. — Dziękuję ci, Niusiu.

W końcu karnawału Natalka otrzymała list od matki, w którym ta ostatnia donosiła jej, że wychodzi za mąż za Klemensa Petryniеckiego.

„Hrabia daje im folwark Uroczne w dzierżawę na bardzo dogodnych warunkach, a że on, Klemens, otrzyma z domu jakie pięć tysięcy spłaty, więc gdy dołączą do tego to co ona otrzymała od hrabiego jako „pośmiertne" po mężu, to stworzą sobie wcale wygodną egzystencję. Chciałaby bardzo, żeby Natalka i Juliusz byli na ślubie".

List ten zabolał Natalkę. Ledwo rok minął od tragicznej śmierci ojca, ona już zakłada nowy dom, nową rodzinę i to z kim? — z dawnym kochankiem.

Ohydna scena widziana przypadkowo odbiła się znów wyraziście w jej mózgu. Zatrzęsła się z obrzydzenia.

— Nie! ani ona, ani Juliusz nie pojadą na ten ślub!

Nawet nie posłała życzeń, bo nie miała ich w duszy i sercu.

— — — — — — —

— Dziś odbywa się zebranie w sprawie budowy pomnika Marszałkowi — oznajmił Juliusz, wchodząc do jadalni. — Może pójdziesz ze mną?

Po ładnej słonecznej pogodzie, po odwilży zapanowały znów mrozy i zawieje. Miasto z powrotem okryło się białą powłoką i wyglądało ładnie i czysto.

Ubrała się w futro, w nowy kapelusik wiosenny, nabyty u najlepszej modystki, tytułującej się szumnie „warszawską" i wyszła z mężem.

Wieczór był pogodny, mroźny, śnieg skrzypiał pod nogami.

Dokończenie nastąpi.

9)

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA IRENA MACIEJEWSKA

Noc roi się tajemniczo: skrzypią wilgotne drzewa, pełzają węże koloru księżyca, odrastają spalone liście; mrowi się coś, co nie jest ani rośliną, ani zwierzęciem, jakieś okropne narośla, nieruchome gąsienice; zatrute oddechy umierających bogów, czarodziejskie kłębowisko zjawisk Nowego Świata, dla których nie ma słów w języku europejskim, które się odzwierciadlają w niezrozumiałych, a podstępnych głoskach indyjskiego narzecza, które są na wskroś przesiąknięte koszmarnymi wizjami, bezsennością parnych nocy, tajemniczymi pieszczotami, co wsączają szaleństwo do mózgów, wyginając w łuk rozkoszy omdlałe ciała. Ukojenie mogą przynieść tylko zaklęcia indyjskich czarnoksiężników... Jutro trzeba wypić nasenny napój... Patrz, tam w kamiennych niszach śpią od wieków wielcy bogowie Mayów. Czy chcesz pogrążyć się w słodkiej drzemce, czy chcesz usnąć, czy też połączyć się z duchami śpiących bogów; jedna kropla więcej, a skronie twe nabiorą barwy zielonych malachitów, wygładzonych pieszczotą czasu; jedna kropla gumy dodana do nasennego napoju, a miłość wsączy w twe rozpalone tętnice swą przeklętą, płomienną skargę.

Miłość całego świata, miłość Meksyku, miłość bożka Quetzacoatla, miłość pięknego jasnowłosego Habsburga! Maksymilian, Maksymilian! I całą rozkosz miłości, budzącą się w sercach wstydliwych księżniczek, gdy rozkochane dłonie łączą się w mroku tropikalnego wieczoru; zapomnieć na chwilę o wszystkim, stać się zwykłą kobietą o gorącym sercu i pieszczotę niosących rękach, stać się królową nocy o słodkich ustach, jak ogrodniczka z Cuernavaca, zaznać nieziemskiego upojenia i nosić w sobie cudowną obietnicę przyszłości, małą istotkę spaloną słońcem Meksyku, małego jasnowłosego chłopaczka, na cześć którego będą dzwoniły wszystkie dzwony Wiednia i Brukseli, dziedzica cesarstwa Azteków, następcę Montezumy, narodzonego ze związku wielkości Habsburgów i Koburgów.

Wyczerpana, rozgorączkowana Karolina zasypia wreszcie w pałacu Meridy. Ostatnie nawoływania kacyków i młodych indyjskich dziewcząt rozbrzmiewają w ciemnych ulicach, ozdobionych triumfalnymi łukami. Karolina, Karolina! Wielka i podziwu godna cesarzowa z nieprawdziwego zdarzenia, śni sen o wielkości, sen, który przetrwa jej życie, pochłonie ją, uwięzi jak lasy Yucatanu zamykające się głucho za indyjskimi drwalami.

Yukatan! Serce świata w piersi tropikalnej krany! Najwspanialsze lasy mahoniowe, wąskie oczy potomków Mayów, dalekie i tajemnicze jak hieroglify, na które tyle wieków patrzyło. Chaos kamiennych rzeźb, pochłoniętych przez lawinę zielonej gęstwy. Karolina wsłuchuje się w szum indyjskich czarów; mruży oczy, by lepiej widzieć, by wchłonąć, by wczuć się głębiej w ten nieznany świat, gdzie nie wtargnęła jeszcze Europa, gdzie umarłe miasta zapadły się w żarłocznej głębi dżungli.

Tam, po lewej stronie, widnieją zdradzieckie wybrzeża, które pierwsi Hiszpanie przyjęli za wyspę, ze słynnym „Szczytem Kobiet", uwieńczonym posągami bożków, tajemniczo uśmiechających się do konkwistadorów. Gdy Grijelva chciał zbliżyć się do świętych miejsc, buchnęły wielkie ognie, rozsiewające woń piekielnej siarki. Kraj prastarej kultury Mayów, znanej na długo przed narodzeniem Chrystusa. Obłędna wędrówka ludów, poszukujących terenów dla uprawy kukurydzy. Guatemala i Honduras jeszcze nie istnieją. Fantastyczne miasta wyrastają z gęstwiny puszczy. Oto Copan, Tihal, Palanke w IV wieku po narodzeniu Chrystusa. Całe południowe wybrzeże zaludnia się, osiedla wyrastają jak grzyby po deszczu, wznoszą się świątynie, gdzie śpią legendarni ślepi bogowie, tryskają święte źródła, lśniące w blasku księżyca szmaragdowym połyskiem. W V-ym wieku powstaje święta stolica królów Itza, miasto chimery o podziemnych klasztorach, podwójnych grobowcach, posągach stunogich rycerzy, skrzydlatych sfinksach z wężowatymi ogonami, z ostrołukami wzniesionymi przez niewidomych, z płaskorzeźbami, wsysającymi się w mury świątyń jak niesyte pijawki.

W X wieku Mayowie emigrują, pozostawiając swe miasta na pastwę lasów, które z przeraźliwą szybkością porastają zabytki ich kultury.

Święta stolica zostaje ponownie odbudowana i zamieszkana dopiero w roku 1100. Tajemniczy gwar unosi się ponad pachnącymi lasami. To głosy Tolteków i Azteków, którzy odnaleźli czerwonego człowieka. Wkrótce wszystko zmienia się, trans religijny ogarnia Mayów. Na wybrzeżach płoną wielkie ognie. Biali ludzie z mieczami w dłoniach, trudnią się wyrobem szkła. A potem znów miasta giną w zielonym gąszczu, ludzie padają od śpiączki.

Ten wielki kapitan, któremu znosi się złoto i kukurydziane placki, to don Francisco de Montejo, który idąc od miasta do miasta, doszedł aż do Chaoca; w r. 1542, po szesnastu latach podboju, powstaje Tihoo, święte miasto bogów o zielonych piórach. Lecz wkrótce nie będzie wcale miast w Yukatanie. Straszliwa zachłanność puszczy napawa przerażeniem. Czterdzieści miast padło już ofiarą zaborczej roślinności. Gdzie się podziało piękne miasto, Talun, okolone murami; gdzie jest Menral o fasadach rzeźbionych w arabeski; gdzie Labna z wysokimi tarasami, skąd astronomowie patrzyli w niebo? Gigantyczne schody tumulusów pną się prostopadle wśród krzewów i pnączy. Pod tryumfalnymi łukami przepływa morze zieleni.

W Meridzie Karolina spędza długich dwanaście dni, najdłuższych dni swego życia w uścisku złośliwej gorączki. Na przedmieściach panuje żółta febra. Pewnego dnia choroba puka do drzwi pałacu. Cała świta cesarzowej w straszliwym lęku, kreśli znaki krzyża. Zmarł pierwszy ochmistrz dworu, siejąc swą śmiercią szał przerażenia wśród towarzyszy. Jej Cesarska Mość nie zna nazwy choroby, gdyż ukrywa się przed nią starannie szalejącą epidemię. W błękitnych salach pałacu snuje się tajemnica. Wszyscy są poruszeni: cesarzowa cierpi na ból gardła i czuje się niezwykle przygnębiona. Doktór przyboczny jest bezsilny. Jak leczyć tę tropikalną chorobę europejskimi medykamentami? Pod oknem śpiewa jakiś szaleniec, z oddali płynie ponury pomruk młynów wodnych. Niechże tu wejdą wszyscy czarownicy o zielonych piórach, którzy znają tajemnice Mayów! Jeszcze trochę tego napoju, wywołującego gorączkę i pocenie! Noce są ciche i jasne. Przedziwne sny otaczają wilgotne czoło cesarzowej. Sklepienia, ostrołuki. Piękne metyski śpiewają w swych zamkniętych powozach, cieniste sady zielenią się wokół haciend, gdzie umarła maurytańska rzeźba wraz z bożkami z malachitu i onyksu. Milkną, przyprawiające o szaleństwo, zaklęcia indyjskiego czarodzieja, który cicho odchodzi, kierując się w ulicę Soli, potem w ulicę Pumy, potem w ulicę Drzewa chlebowego...

Stan zdrowia cesarzowej poprawił się. Wsłuchując się w tętno swej wzburzonej krwi, Karolina spędziła trzy dni w zaczarowanym pałacu w Uksmal; wzdłuż murów biegną dekoracyjne motywy, wyobrażające pół węża, pół tygrysa z kwiatami i porami; z płaskorzeźb patrzą ślepe oczy z malachitu; potworne jaszczury igrają w słońcu.

Prędko, jak najprędzej wracać do Chapultepec! Jeszcze trzy dni w Campeche, jeszcze trzy dni na wyspie Carmeny. Morze mieni się szaro-zielonym błękitem. W Vera Cruz, cesarzowa trawiona gorączką, wydaje wielki bal. Na ulicach rozbrzmiewają śpiewy, wybuchają petardy, skrzą się świętojańskie robaczki.

Stójcie, stójcie: nowe wypadki żółtej febry niepokoją dzielnice portowe. Jakaś niepojęta groza snuje się wokół. Wszystkie oczy są zamglone smutkiem, ponure milczenie panuje wśród świty Jej Cesarskiej Mości. Ojciec Karoliny, Leopold I, zakończył życie w Laeken w dniu 10 grudnia o godzinie 11.45.

Pospieszny powrót do Jalapy! Cesarzowa wciąż gorączkuje. Balsam z Yukatanu szumi w uszach, śpiewa we krwi; w mózgu kłębi się wspomnienie yukatańskich czarów. Orszak pnie się na coraz wyższą wyniosłość. Pneumatyczny kask rozrzedzonego powietrza uciska skronie. Gorączka, bicie serca, krew z nosa. Na drogach niebezpieczeństwo. Uzbrojone bandy włóczą się dookoła. Indianie obojętnie witają powracającą cesarzową. Cesarz przyrzekł wyjechać na spotkanie Karoliny, lecz właśnie zawiadomił ją telegraficznie, iż jest to niemożliwe. Maksymilian przebywa w Cuarnavaco, dręcząc się brakiem solidarności ze strony dworów europejskich. Zniechęcony i zaniedbany, całe dnie spędza w szlafroku i w nocnych pantoflach; dla zabicia czasu bawi się w parku z czterema pięknymi psami, które otrzymał z Hawany i pije, by o wszystkim zapomnieć.

Cesarzowa powróciła wreszcie do Meksyku. Jest przygnębiona, zmęczona, chora. Jej piękne oczy okala ciemny cień, nerwy naprężone do ostatnich granic. Mimo to odwiedza szpitale, zajmuje się dobroczynnością i co rano wyjeżdża na konne przejażdżki. Niekiedy czuje się bardzo źle i podejrzewa uzdrawiaczy z Yukatanu, iż ją urzekli. Rzadko widuje się z cesarzem; wieczorami, gdy zostaje sama, płacze, budzi się po nocach okryta zimnym potem i rozmyśla o niezrozumiałych zrządzeniach losu. Jeździ konno w olbrzymim parku, gdzie rosną drzewa Yucatanu, Chapultepecu i Belgii. Myśli o małym Iturbidzie i pragnie gorąco dać cesarstwu dziedzica swej krwi.

W rozmowach z damami dworu często wspomina o konieczności przedłużenia dynastii i za ich namową postanawia odbyć pielgrzymkę do Matki Boskiej z Gwadelupy, gdzie wszystkie Indianki modlą się o potomstwo, składając jako wota swe szale i taśmy ze strojów ślubnych. O swym gorącym pragnieniu pozostania matką, cesarzowa mówi do hrabiny de Courey w tych słowach: „Jest to pragnienie naturalne i słuszne, lecz sprawy ludzkie są w ręku Boga. Jeśli On wyznaczy czas do dokonania jakiegoś zbożnego dzieła, ześle nam niewątpliwie to, co może zapewnić trwałość naszych poczynań."

O zmierzchu, gdy chłodny cień spowija ziemię, podczas gdy Maksymilian marzy w ogrodach Cuernavaca i zapomina potrosze o swej Karolinie, cesarzowa, smutna i zniechęcona, opuszcza wielkie pokoje pałacu meksykańskiego i śni samotnie w indyjskiej pirodze, kojąc na wodach pięknych jezior swą chorobliwą udrękę.

Pragnienie miłości, pragnienie odzyskania zbyt lekkomyślnego męża, smutek po stracie ojca, zmarłego z dala od niej po drugiej stronie Oceanu, śmierć królowej Marii-Amelii, zgasłej w Clermont w marcu 1866 r., wspomnienia zatrutych czarów Yukatanu, obraz ogrodniczki z Cuernavaca! Ból szarpie sercem cesarzowej, samotnej między wodą a rozgwieżdżonym, tropikalnym niebem.

XI.

Straszliwe zniechęcenie coraz silniej oplata Karolinę. Bieg wypadków, które niesie ta niepokojąca przygoda z nieprawdziwego zdarzenia, przechodzi wyobraźnię, logikę, rozsądek, i wszelkie przewidywania. Tajemne znaki zwiastują zbliżające się nieszczęście. Źle się dzieje w Meksyku! Źle się dzieje w małżeństwie cesarskim! Źle się dzieje w Europie!

Cesarzowa widzi już teraz dokładnie, iż kłamliwy Napoleon III stara się zrzucić z siebie całą odpowiedzialność, listy jego wyraźnie wskazują na to, że nie należy liczyć dłużej na jego poparcie. Żegnaj ideo „wszechświatowego panowania!" Ministrowie oponują przeciw temu nieproduktywnemu szaleństwu. By odwrócić uwagę ludu od nieudanych projektów Napoleona, buduje się pospiesznie pawilony wystawy z 1867 roku. Cesarzowa Eugenia, pełna dotąd zapału i macierzyńskich uczuć, nie pochwala posunięć Maksymiliana w związku z konkordatem i trzyma stronę generała Bazaine, który nie zdołał jednak dokonać pacyfikacji Meksyku. Garnizony wojsk zostały wycofane z północnych prowincyj i wierna ludność jest wydana na pastwę zemsty Juareza.

W Stanach Zjednoczonych, zwycięska Północ popiera powstańców meksykańskich. W Europie nastąpił poważny zwrot w polityce. Po śmierci lorda Palmerstona ustaje dla Meksyku opieka Anglii. Nagły zgon Leopolda I, króla Belgów, pozbawił Maksymiliana i Karolinę doświadczonych rad i silnego poparcia moralnego w Europie, a zwłaszcza na dworze Napoleona III.

Niezręczne usiłowania Maksymiliana dla zapewnienia sobie tronu węgierskiego w wypadku, gdyby był zmuszony opuścić Meksyk, wzburzyły przeciw niemu dwór wiedeński i spowodowały wycofanie ochotników austriackich. Wojska francuskie ponosiły klęskę za klęską. Marszałek Bazaine spędzał ze swą siedemnastoletnią żoną czarowny miesiąc miodowy w wspaniałym pałacu, ofiarowanym mu przez cesarza i zamiast zajmować się sprawami wojska, które doprowadził do rozpaczliwego stanu, uprawiał konne przejażdżki ze swą piękną Józefiną i popijał lemoniadę w czasie przyjęć, urządzanych przez ukochaną żonę.

Cesarzowa, zniechęcona i ogarnięta niepokojącym przeczuciem dalszych wydarzeń, przeklina w głębi ducha tych wszystkich suwerenów europejskich, którzy nie chcą rozumieć obowiązującej ich solidarności i odstępują bezwstydnie od monarchów Meksyku, nie zdając sobie sprawy z tego, iż podobne postępowanie pociągnie za sobą zgubę dla nich wszystkich. O! jeśli Bóg jest sprawiedliwy policzy wszystkie złe i dobre czyny i ześle Karolinie potomka, który zapewni wielkość dynastii i weźmie odwet od tych, co nie dotrzymali swych moralnych zobowiązań.

Karolina biegnie myślą ku Belgii, ku Brukseli, nasuwa się jej wspomnienie żywiołowej radości tłumów w dniu jej ślubu; oczami wyobraźni widzi Laeken i piękny park o zielonych brzozach, czerwonych bukach i rozłożystych kasztanach, obsypanych wiosną pachnącym kwieciem.

Co robić? W Belgii również nie można liczyć na żadną pomoc. Leopold II odmawia wszelkiej interwencji i poparcia nawet moralnego. Zapomniał już o tym, iż niegdyś mówił, że gdyby miał syna starałby się go uczynić panem Meksyku; obecnie usiłuje wraz ze swym ministrem spraw zagranicznych Charles Rogier, wynaleźć tysiące powodów i wyjaśnień, które by mogły go usprawiedliwić w oczach siostry.

Z Brukseli zostaje wysłana specjalna misja dla zawiadomienia władców Meksyku o wstąpieniu na tron Leopolda II i wyjaśnienia trudnej sytuacji Belgii. Cesarzowa Karolina oczekuje z niecierpliwością przybycia delegacji w nadziei, iż przywozi jej dobre wiadomości. Posłowie opuścili Brukselę w dniu 14 stycznia 1866 roku. W dniu 16-go stycznia wsiedli w St. Nazaire na okręt „Luiziana",

(Ciąg dalszy na stronie 713)

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

SZKODA

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni;
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni;
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą;
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać;
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia...
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia.

Et...y.

DOBRE RADY PANI ZOFII

DALEKO, OJ DALEKO!...

„Kresowianka". Daleko mieszkasz, Dziewczynko, bo aż na Wołyniu. Na tym Wołyniu, który tylekroć był opiewany przez poetów, i więcej jeszcze razy służył za tło do powieści, przedstawiających życie Polaków kresowych.

Piszesz mi, że czytasz dużo książek i gazet — może napiszesz mi w następnym liście, czy czytałaś też i jakie książki, traktujące o Wołyniu.

Do „Krainki" przyjęłam Cię niniejszym i zamieszczam Twój apel:

„Halo! Kochani „Krainiacy" — kto z Was zechce napisać list do samotnej i tęskniącej za towarzystwem „Kresowianki"? Bardzo proszę! Odpowiedź murowana!"

ŚCIEŻYNĄ POLNĄ...

Niewiele potrzeba do szczęścia,
Któż by to odgadł z was wszystkich?
że radość się ludzka ukrywa
w polu pobliskim?...
Niewiele potrzeba do szczęścia
i do wieczystej pogoni — —
wystarczy mrok życia rozjaśnić
słońcem, co płonie.
Pójść w pola — po rozkosz wichrową,
gdy niebo się w łące zanurza...
że pachnie jak lipcem wonnym
pachną rozkwitłe róże...
Pójść w pola — po zapomnienie — —
i stać się jak dawniej beztroskim...
odszukać serce lata
wśród cichej, ustronnej wioski.
Pójść w pola — po miłość serdeczną,
przedświtem skąpanym rosą,
słuchać jak drzewa szumią
błękitną modlitwą niebiosów...
Myślą się wspiąć ponad wzgórza —
nad most podniebnej przełęczy — —
i życiem, jak w słońce spoglądać,
w blask siedmiobarwnej tęczy...

Józef Baranowski

NIE ZAPOMNIAŁA!...

„Kochane Oczęta". Dużo pozdrowień znad morza przysyła nam ta kochana Dziewczynka.

Cieszymy się i ogromnie wdzięczni jesteśmy jej za to, że spędzając beztroskie i piękne dni wakacyj w uroczym naszym mieście portowym, nie zapomniała pomyśleć i o nas! Owocem tej myśli były nadesłane słowa pozdrowień.

Wzajemnie życzymy jej wszystkiego najlepszego oraz oznajmiamy, że czekamy na opis. wrażeń!

ZOSTAŁAŚ „ZAUWAŻONA"

„Haneczka z Katowic", Przyjmuję Cię do „Krainy" i... myślę słusznie, że jednak zostałaś przeze mnie zauważona, a i „Krainiacy" na pewno nie będą nastawieni na „niezauważanie"!

Z Ostrowa Wlkp. do Żnina jest jeszcze bardzo daleko i wątpię, abyś mogła zrobić wypad stamtąd do mnie. Chociaż... wszak tam będziesz przez miesiąc na urlopie, a podczas urlopów robi się mnóstwo nieprzewidzianych rzeczy!

Bardzo było by mi miło przywitać Cię w naszej redakcji. Pomyśl nad tym i pisz!

W PORZĄDKU!

„Dobre Mizi". No, to w porządku, skoro godzisz się na swój pseudonim. Mówisz, że był ten pseudonim dla Ciebie szczęśliwy? To ładnie!

Nie wątpię, że znajdziesz wśród nas przyjaciółkę szczerą i oddaną — tylko poszukaj trochę.

Życzę Ci powodzenia i zamieszczam komunikaty:

„Iste - Venus". Dziękuję Ci za pozdrowienia i odwzajemniam Ci je bardzo serdecznie.

„Ali" — chciej przyjąć ode mnie moc serdecznych pozdrowień. Czemu Pan milczy??

Osobne pozdrowienia dla „Blanki", „Leśnej Rusałki", „Uśmiechniętej Wandulki"!



Czy wygląd zewnętrzny „Lang - Cheng" usprawiedliwia jej orientalny pseudonim?

TU „SPORTSMENKA Z KUJAW"!

„Sportsmenka z Kujaw". „Krainiacy", zapomnieliście o „Sportsmence z Kujaw"! Odezwijcie się, a dużo Wam napiszę. Jak wiecie, mieszkam nad Notecią.

Teraz używam wody, słońca i sportu! — W sierpniu wyjeżdżam do Garczyna na Pomorze, może ktoś chętny mnie odwiedzi z okolic Gdyni, Orłowa, Kościerzyny itp. Szczególnie chodzi mi Tych w mundurkach, gdyż i ja noszę mundur. A może ktoś będzie obecny w Garczynie na kursie instruktorskim? Proszę mi napisać.

„Reno z Kujaw" — w rzeczywistości jesteś 100 razy piękniejsza, jak na fotografii, umieszczonej w „Krainie". Całuję Twą ładną buzię i dziękuję za pamięć!

„Mogilnianko" — mieszkamy blisko siebie — daj łapki!

„Przybłędo Leśny" — zazdroszczę Tobie tego wypoczynku w Worochcie.

„Edku z Gdyni", milczysz już od roku, skrobnij list!

„Sztubaczka spod lasu" — czy mieszkasz w samym lesie? Tęsknię za lasem.

„Rybaku z Helu" co porabiasz?

„Rolniku", dlaczego nie odebrałeś listu w wyznaczonym terminie na poste-restante — Krotoszyn? Gdy się spotkamy, dostaniesz po uszach.

„Młody Orle" — życzę Ci powodzenia!

„Pell" — może i mnie odwiedzisz na swym stalowym rumaku?

„Belfer" — spodziewam się listu od Ciebie!

„Milusiu II" — proszę o zwrot moich fotografij, są mi potrzebne. Pa!

„Kartusz", zasyłam Ci milutkie Pa!

„Marzycielu znad Noteci" — odezwij się, gdyż i ja mieszkam nad Notecią.

„Samotny Chorzów I" — może znamy się, bo i ja byłam sokolicą. Czy byłeś na 35-leciu w Pakości, kilka lat temu?

„Rudi", „Wirrycie", „Jolka z dworku za wsią", „Willy", „Kazimierzu Junoszycu" — dużo miłych pozdrowień!

Milutkie „pa" dla wszystkich poetów! Reszcie „Krainiaków" zasyłam siostrzany uśmiech! Proszę chętnych o listy, a tym, którzy mi przysłali w lutym pozdrowienia, odwzajemniam się szczerze!"

Z PRZYJEMNOŚCIĄ!

„Hr. Ulsen". Zadowolona jestem, że odezwałeś się już samodzielnie, teraz oczekuję jeszcze tylko dźwięcznego głosiku „Rozkosznej Blondyneczki".

A jeszcze większą radość sprawiłeś mi przyrzeczeniem wzięcia udziału w naszym zjeździe. Z przyjemnością zatańczę z Tobą ładnego walczyka, a już „Krainianki" na pewno nie pozwolą Ci odpocząć.

Wujek Janusz nasrożył się trochę na wspomnienie „jednego"', jako że respektuje on abstynencję. Niemniej, kazał pozdrowić Cię serdecznie, co niniejszym czynię, od siebie posyłając przyjazny uśmiech!

A teraz pozwalam „Krainiakom" przeczytać również Twój list:

„Nie ma Pani pojęcia, ile radości sprawiła mi wieść o przyjęciu do „Krainy", umieszczona w komunikacie dla „Przybłędy Leśnego". No, a moja partnerka („Roszkoszna Blondyneczka") to już dwa dni nie spała, oczekując — owego dnia przyjęcia! Tylko biedaczka nie może obecnie podziękować osobiście za przyjęcie, gdyż ma masę zajęcia i poleciła mi, bym w jej imieniu — złożył Pani i całej „Kraince" — serdeczne podziękowanie!

Na Zjazd „Krainiaków" wybiera się oczywiście, jak również ja, i nasz przewodnik — „Przybłęda Leśny". Dzień 11 września br. zanotowaliśmy w kalendarzu i oczekujemy go z niecierpliwością. „Dobija" nas tańcująca herbatka, gdyż wszyscy przepadamy za tańcem i już teraz podśpiewujemy sobie ochoczo: „Nie pojedziem do dom, aż rano, aż rano...'" (W tym też wyłącznie celu wybieramy się na motocyklach, by nie być zależnym od połączeń kolejowych)! — A ja przyrzekam w podzięce (za przyjęcie do „Rodzinki") wytańczyć z Panią i każdą obecną „Krainianką" — upojonego walczyka, lub smętne tango, zaś z Wujkiem Januszem — „wychylić jednego"!!!

Oczekując niecierpliwie osobistego poznania się — ślę moc serdecznych pozdrowień dla całej „Krainy"'.

„Jagódko leśna"! — Ty owocu mego „dużego ogródka" — może spróbujesz coś napisać? Czekam i przesyłam uścisk „łapki"!

„Duchu Puszczy"' — Ktoś Ty? Czy nie przypadkiem mieszkaniec 1. p.? Napisz — Darz Bór!

„Bobrze Nadbrdziański"! Dlaczego milczysz tak zaklęcie? Czy popadłeś w sen zimowy? Spróbuj ożyć na nowo! Czy jeszcze mieszkasz w Koronowie? Darz Bór!"

JA TEŻ WOLAŁABYM!...

„Banjałuka". Ja też wolałabym, aby to był dopiero maj, i to maj piękny, ale niestety, mamy już jesień przed sobą, a co za tym idzie, dużo ponurych, słotnych dni. Musimy postarać się przeżywać je pogodnie, bez zbytniego poddawania się smutnym nastrojom.

Tobie, sądzę, nie przyjdzie to z wielkim trudem, bo żywa i wesoła jesteś z natury. Gorzej będzie z moimi pupilkami, które już w charakterze mają melancholię i smutek. Im będzie trzeba przesłać jak najwięcej pogodnych, beztroskich listów i jak największym obdarzać je uczuciem.

Całuję Cię i zachęcam do przyjazdu we wrześniu!

„Dziewczynko z zaklętego młyna". Ściskam Cię mocno. Pamiętaj o M... „En-Ka". Ślę Ci moc pozdrowień, a za odebrane dziękuję!

UCIECZKA

Z młyna miejskiego uciekłem w bór,
w puszczę szumiącą tysiącem żyć;
w puszczę stojącą twardo, jak mur,
aby samotnym pośród drzew być.

Jest mi tu dobrze, tylko tęsknota
szarpie mnie ciągle, niby zły pies.
I do powrotu zbiera ochota...
Chociaż... ten spokój cudowny jest.

A w tym spokoju zjawiasz się ty,
jakbyś z przestworzy zjawiała się,
i szepty twoje wciąż dzwonią mi...
A może tylko na jawie śnię?

To jedno tylko wiem dobrze dziś,
że mi cię bardzo w tym lesie brak,
że mi twe imię powtarza liść
i przypomina szepcący krzak.

Dlatego pewnie powrócę tam,
gdzie cię zobaczę każdego dnia,
bo nie chcę dłużej zostawać sam,
bo chcę me szczęście sączyć do dna.

Adam Czekalski.

MAM JEDNO WIELKIE PRAGNIENIE!...

„Dzikuska znad morza“. Dziś po raz pierwszy zapoznałam się bliżej z tygodnikiem „Moje Powieści“ i jestem nim szczerze zachwycona. Szczególnie podoba mi się dział: „Kraina szczerości i naszych trosk“.

Czytając go miałam wrażenie, że przebywam w towarzystwie miłej, wielkiej, zgodnej rodziny. Nie zastanawiając się ani chwili, zasiadłam do napisania tego listu. Jednym moim wielkim w tej chwili pragnieniem jest należenie do grona„ Krainiaków“. Sądzę, że zostanę przyjętą.

A teraz chciałabym się przedstawić.

Otóż: jestem bardzo wesołym, lubiącym przygody, muzykę, taniec i sport — stworzonkiem.

Włosy mam jasne, oczy zielone i figlarny uśmiech:

„Mieszkam na razie w Gdyni. Marzeniem moim jest, abym mogła z kimś miłym nawiązać korespondencję. Odpowiedź na każde słówko murowana!

Listy proszę kierować: Gdynia, Poste - restante 17.

Wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“ zasyłam moc serdecznych pozdrowień i uśmiechów.

Twoje wielkie pragnienie spełniło się, bo od dziś należysz do „Krainy“. Czuj się w niej dobrze, pod tym uzupełnionym przeze mnie pseudonimem.

NIE WĄTPIĘ..

„Kazik“. Tak gorąco zaprotegował mi Pana Wujek Janusz, że od razu przekonałam się do tego nowego pseudonimu i przyjmuję go oto do grona członków „Rodzinki“.

Nie wątpię, że kawaler, który pisze w tonie tak żartobliwym i miłym, okaże się w bliższym współżyciu rodzinnym ogromnie sympatycznym.

Nowy nasz kolega jest nad wiek wysokim, szczupłym młodzieńcem o twarzy pociągłej, doskonale opalonej, jasnobłękitnych oczach, ciemnoblond włosach i zmysłowych ustach. Tyle co do zewnętrznej charakterystyki. Jeżeli chodzi o stronę wewnętrzną, to nadmienia tylko, że uważają go ogólnie za marzyciela, tudzież zdolnego i kochanego urwisza. Resztę poznamy z czasem sami!

Na razie przesyłamy mu pierwszy uprzejmy uśmiech i dziękujemy za pozdrowienia!

W JAKI SPOSÓB PODTRZYMASZ KONTAKT Z NAMI?

„Marzenka z Ameryki“. Dziecino! Kto wydział żeby tak boleśnie interpretować moje słowa, wynikłe z niepokoju o Twoją perfekcję w języku ojczystym. Nie miałam zupełnie zamiaru czynić Ci przykrości, bo za bardzo Cię kocham. Wszak wiesz o tym dobrze.

Cieszę się, że czujesz się dobrze u Wujka i że nauka nie sprawia Ci specjalniejszych trudności.

List prywatny? Owszem, mam ten zamiar, ale tak jakoś dużo zbiera mi się stale spraw bieżących do załatwiania, że nie mogę znaleźć wolnej chwili na zredagowanie dłuższego listu do Ciebie. Ale go jeszcze napiszę, bądź pewna!

Powiedz mi, czy w dalszym ciągu wykonujesz prace filet? Swego czasu mówiłaś mi o zachwycie, jaki wzbudzały te Twoje robótki wśród Twoich amerykańskich znajomych. W jednym z najbliższych numerów dam znowu bardzo efektowne wzory do wykonania na siatce filet.

Opłacony masz cały sierpień i jeden numer wrześniowy, więc do tej pory administracja będzie Ci wysyłała nasz tygodnik. A co po tym? Jak będziesz się porozumiewała ze mną i resztę „krainiackich“ przyjaciół? Przecież wiem, że w dalszym ciągu będą wpływały pozdrowienia pod Twoim adresem — jak mam z nimi postępować? Czy zamieszczać, czy też konfiskować z zaznaczeniem, że „Marzeńka“ na razie nie czytuje listów „Krainy“?

Objaśnij mnie jak najszybciej w tym względzie, abym znowu nie była mimowolną sprawczynią Twego zmartwienia.

Czekam więc na szybki list, a na razie całuję Cię serdecznie i pozdrawiam w imieniu całej „Rodzinki“!

WIECZÓR NA WZGÓRZU

Wyrósł ciemności masyw na nieba sklepieniu,
Bóg pół księżyca zgasił plamą w błękicie —
Przyszedł wieczór po ostrobiałym wieżyc cieniu,
Tutaj na płaskowzgórza posuwał się szczycie...

Hej, w zamąconych dróg szybkolotnej toni
Odbił się blask, zakrwawiwszy ulic powierzchnię,
Srebrnokutą balustradą ciemność osłoni —
Szaleńcza kuźnia bytu nocną złudą pierzchnie!

Znów srebrnopienny przestwór napełnił się mrokiem,
Wiciokrzewów widma kołyszą się w dali,
Rosną w bezmiar, kształty zmieniając przed okiem
Jeżą się mgieł kontury szarawym obłokiem.

Szum rzewny dochodzi półsennie — jakby grali
Pieśń smutną — to szmerośpiewem staw mi się żali...
Chciałbym mieć tu na wzgórzu miasto przy swym boku —

Miasto moje rodzinne, pełne snu, zadumy,
Chciałbym, by nic nie mąciło milczenia półmroku...

Zbigniew Wicherek.

PASJAMI!...

„Czarodziejka“. Pasjami lubię takie zajęcia praktyczne“, zwłaszcza w okresie wakacyjnym, więc też nie dziwię się, że i Ty oddajesz im się z przyjemnością. W dodatku masz tak miłych pomocników, że doprawdy możesz być zadowolona.

Cieszy mnie, Dziecino, że masz okazję do miłej a godziwej zabawy.

Baw się całym sercem i bądź mi nadal tak promienna i pełna młodzieńczej werwy!

Wierszyki oddałam Wujkowi Januszowi do oceny.

A propos tej nowelki, to chciałam Ci zaznaczyć, że zdarza się czasem autorom, iż napiszą coś zbliżonego do już drukowanych prac innych pisarzy. I niekoniecznie musi to być świadome naśladownictwo. Rzecz inna, że rutynowany pisarz raczej zniszczy swój utwór, niżby miał narazić się na zarzut naśladownictwa, a jeszcze gorzej — plagiatu!

W sprawie wiersza wymienionego przez Ciebie zwróciliśmy się bezpośrednio do autora.

Pozdrawiam Cię i zamieszczam dopisek:

„Posyłam pozdrowienwia dla p. Kamińskiego i Morawskiego z Dworca, a za przesłane dla mnie, wszystkim serdecznie dziękuję i odwzajemniam w dwójnasób“.

NIE PRZYZNAJĘ CI RACJI

„Danusia“. Zmieniłam trochę Twój pseudonim. Przyjmuję Cię pod nim do naszego grona. Zastanowiła mnie Twoja głęboka nieufność do ludzi z miasta, lecz przyznać ci racji nie mogę, bo wiem, że jak w mieście, tak i na wsi zdarzaja się czasem ludzie nieszczerzy i nawet obłudni, ale wiem również, że monopolu na te wady, a zresztą wady w ogóle, nie mają ani ludzie z miast, ani z wsi!

Ludzie, jak ludzie — wszędzie są równi, czasem bardzo dobrzy, kiedyindziej bardzo źli, a najczęściej średnio dobrzy.

Wierszyki wręczyłam Wujkowi Januszowi do oceny — sądzę, że niedługo się dowiesz, czy się nadają do druku, czy też tylko do kosza.

Sympatykom naszym przekazuję Twoje ogromnie serdeczne pozdrowienia i zlecam Cię ich pamięci!

ODDAĆ POD OPIEKĘ LEKARSKĄ

„Mała Konwalijka“. Mam przed sobą na biurku trzy Twoje listy i odpowiadam na wszystkie równocześnie.

Sprawę ogłoszenia załatwiłam w Dziale Ogłoszeń. Jeżeli chodzi o lekarstwo na chorobę tego malca, to doprawdy lepiej, że będzie on oddany pod stałą opiekę lekarską. Leczenie niefachowe mogłoby tu nie tylko nie wywrzeć pożądanego skutku, ale okazać się wręcz szkodliwe.

Miło mi było czytać o tym, jak bardzo lubisz to dziecko i wierz mi, że chętnie popatrzyła bym na jego fotografię. Może mi ją szybko przyślesz — co?

A na zjazd będziesz się mogła wybrać?

Tak, dom rodzinny ma tę ciekawą własność, że zawsze się doń wraca z uczuciem rozrzewnienia i miłości. Choćby nie wiem jak dobrze było nam w szerokim świecie naszych samodzielnych lotów, zawsze najmilej odpoczywamy w gniazdku uwitym matczyną ciepłą, troskliwą dłonią.

Taka jest mnogość Sympatyków, że Ci, którzy nie piszą przez czas dłuższy, sami skazują się na zapomnienie. O niejednym w ten sposób zaginęła pamięć w „Krainie“, niejeden poszedł swoją własną drogą, która nie przecina się już z naszym długim szlakiem i może nigdy więcej nie przetnie! Dużo członków pozmieniało pseudonimy, a jeszcze więcej wraca do czynnego życia wśród nas po długiej przerwie. Przykładów mogłabym mnożyć bez liku, lecz nie mam na to czasu, a zresztą nie wszystkich by to interesowało!

No, rozgadałam się znowu, a tu jeszcze mnóstwo listów wymaga załatwienia!

Więc ślę Ci uśmiechy i przedrukowuję komunikaty:

„Posyłam serdeczne pozdrowienia dla wszystkich poetek i poetów „Krainy“!

„Czarny Hajduczku“! Pocztówki przecudne. Kocham Cię zawsze.

„Kaju“ — napisz do R.

„Maruto“ i „Stasieczku“! Całuję Was!

„Zuch - dziewczyno“ — mam ochotę jeszcze raz tak dziko Cię wyściskać. Jesteś serdecznym dzieckiem!

„Konwalio“! Dlaczego nigdy nie piszesz?

„Bajko“ i „Blanko“ — serdecznie pozdrawiam i całuję Wasze buzie!

„Szare Oczęta“ — piękny masz pseudonim.

P. M. Grzegorski — dziękuję za pocztówkę!“

Z ŻYCZENIEM!...

„Obserwator I“. Przyjmuję Pana do „Krainy“ z ciepłym życzeniem, abyś w niej nie znalazł tak przykrego rozczarowania, jakiego przyczyniła Ci ta niefortunna znajomość, o której mi wspominałeś.

„Halo „Krainiacy“! Nowy członek naszej „Rodzinki“ ma lat 25, szkołę średnią ukończył w Bydgoszczy, tamże odbył służbę wojskową, a obecnie jest na posadzie państwowej w Gdyni.

Pragnie on nawiązać sympatyczną korespondencję z Wami i w tym celu prosił mnie o przedstawienie go Wam i przyjęcie w nasze szeregi. Bądźcie mili dla niego, jak tylko Wy to umiecie!

DLACZEGO?

„A. K. — Bydgoszcz“. Dlaczego nie podpisałaś się, Dziecino, pseudonimem? Ja rzadko pamiętam nazwiska moich Sympatyków, w pamięci zachowując tylko pseudonimy. Na przyszły raz nie przeocz tego na oko drobnego, dla mnie jednak niezmiernie ważnego szczegółu.

Dziwię się, że „Iruśka“ nie odpisuje Ci, ale myślę słusznie, że jak przeczyta urywek z Twego listu, mówiący o niej, niezwłocznie pośle Ci miłą odpowiedź.

Życzę Ci, abyś szybko znalazła wśród nas przyjaciółkę, którą tak bardzo pragniesz znaleźć i przechodzę do przedrukowywania:

„Jakoś moja „Iruška" długo mi nie odpisuje. Martwi mnie to, bo może nie chce ona przyjąć mnie za swą przyjaciółkę!... Czy tak jest „Iruś"? Odpisz proszę — ja na razie przesyłam Ci milutkie „pa!" i czekam na słówko!

„Nell z Bydgoszczy". Czy mogę z Panią korespondować? Dlatego, że ja także mieszkam w Bydgoszczy, jak Pani. Proszę o liścik, a ja Pani się odwzajemnię i napiszę coś niecoś o sobie zgoda? Bardzo, bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

„Samotna Włościanko!" Bardzo bym chciała być Pani naprawdę oddaną przyjaciółką, bo i ja takiej szukam. Więc może się Pani namyśli? W drugim liście, który niezadługo nadejdzie, opiszę Pani swoją osobę, żeby mnie Pani dobrze poznała. Bo i ja jestem Bydgoszczanką. Resztę napiszę Pani w bardzo długim liście. Teraz ślę moc uścisków i pocałunków dla Pani.

Dla całej „Krainy" serdeczności!"

PAMIĘTAJ!

Pamiętaj o tym, dziewczyno,
Honoru swego trza strzec,
Bo lepiej jest w grobie lec,
Niźli z honorem się minąć.

Pamiętaj o tym, dzieweczko,
Że skarbem twoja cnota —
Jako na... worek złota,
Złodziej nań czyha zdradziecko.

Pamiętaj o tym, dziewczyno,
Pokorną i skromną bądź
I miłością bliźnich sądź,
Boć przez skromność nikt nie zginął.

Pamiętaj — idąc przez życie —
Swój język na wodzy miej!
Ziarnka prawdy wokół siej, —
Bądź jako niewinne dziecię...

Wytrwaj w ojców wierze świętej,
Często sumienia się radź
I sercem za serce płać,
Żeś Polką jest — pamiętaj!

Kazimierz Łaganowski.

ZMIENIŁAM PSEUDONIM

„Rowerzystka z Pomorza". Spełniając Twoją prośbę, zmieniłam Ci pseudonim, tylko nie miej do mnie żalu, gdy potem zdarzy się, że zapomnę, iż „Rowerzystka z Pomorza" nie jest jedną z nowych i mniej znanych mi „Krainianek". Teraz jest tyle nowych Sympatyków i z każdym dniem przybywa ich jeszcze, że doprawdy musiałabym być geniuszem, gdybym miała pamiętać wszystkie szczegóły o moich „Krainiakach". To jest między innymi przyczyną, że nie lubię zmian już mi znanych pseudonimów.

Przeważnie przed czytaniem listu spojrzę na pseudonim, jeżeli go znam, wiem od razu, z kim mam do czynienia i z tym większym zainteresowaniem śledzę treść listu. Wszak tak już na świecie bywa, że z większym uczuciem rozmawiamy z osobami znanymi nam już od dawna, niż z codopiero poznanymi.

Nowo poznanych musimy dopiero sobie zjednywać, naginać ich do siebie, lub siebie do nich — obce są nam ich uczucia, myśli, przyzwyczajenia, ich sposób patrzenia na zjawiska życia, więc musimy to wszystko przestudiować, co wymaga oczywiście czasu i niejednej długiej dyskusji. A ponadto, do każdego człowieka musimy podchodzić inaczej, stosownie do indywidualności, jaką on przedstawia, zaś to nie jest wcale łatwe! Trzeba się nieraz dobrze potrudzić, zanim zrozumie się tego czy innego człowieka.

I właśnie takim przyczynkiem do przemyśliwania nad człowiekiem jest dla mnie każdy prawie nowy członek „Rodzinki". A czyż dla mnie nowy pseudonim nie jest synonimem nowego przybysza, zwłaszcza gdy charakter pisma tej osoby nie jest tak znamienny cechami indywidualnymi, że wbija się od razu w pamięć?

Owszem, jest kilku „Krainiaków", których pismo poznałabym wszędzie, ale to jeszcze nie wszyscy i nawet nie połowa tych, których znam i kocham.

Znam ich z pseudonimów i z tego, co piszą przez szereg miesięcy, przez całe lata i takich kocham. Lecz gdyby jeden i drugi z tych ludzi stanął gdzieś nagle przede mną i powiedziawszy, że nazywa się tak a tak, twierdził mocno, że zna mnie od dawna, bo pisywał do „Krainy" i na dowód wymieniłby jakiś dopiero co zmieniony pseudonim — ręczę, że okazałabym mu moje zdziwienie, a w najlepszym razie wielką niepewność. Po prostu nie umiałabym przypomnieć sobie bodaj jednej rozmowy, przeprowadzonej z nim na łamach „Krainy". A wszystko przez ten zmieniony pseudonim!

Może mi być n. p. dobrze znany „Eros", czy „Taki Jeden", lecz gdy mi przyszłą list z prośbą o zmianę pseudonimu, to kto wie, czy po 3 mies. nie zapomnę, że nowy pan, dajmy na to „Cygan III", jest moim dobrym znajomym, ba, siostrzeńcem nawet, kochanym, tylko pod pseudonimem „Eros". Chociaż w tym wypadku przykłady są nieprzekonywujące, bo po pierwsze poznałabym ich po piśmie i stylu, a po drugie siostrzeńca wykluczyłabym z pokrewieństwa i Bóg wie, jakie klątwy bym nań rzuciła!...

Ale weźmy taką „Zośkę błękitnooką", która napisała ze 3—5 listów do mnie, a potem ni z tego, ni z owego prosi i wyznaje, że chce być „Pięknooką Poznanianką". Godzę się naturalnie, (były przyczyny) i gdy przy okazji wstępuje do „Krainy" inna „Ciemnooka Poznanianka", kręcą mi się w pamięci „Ciemno - błękitno - okie Poznanianki" i nie wiem, który pseudonim, do której osoby należy.

No, zrozumieliście mnie wreszcie! Ale swoją drogą czuję, że zrozumieliście po to jedynie, aby przy lada okazji znowu oznajmiać zmianę pseudonimu. Wiem o tym i już się przyzwyczaiłam i nie dziwię więcej.

Nie myśl też, że gniewam się o to na Ciebie — nie Ty pierwsza i nie ostatnia jesteś przyczyną takich moich refleksyj.

Z przyjemnością dowiedziałam się, że będziesz mieszkała (a zapewne już mieszkasz) w pięknym dworku. I to mnie cieszy, że masz pełne zadowolenie ze swej pracy na wsi, którą lubisz.

Pisz zawsze tak dużo i szczerze!

Pozdrawiam Cię mile i przechodzę do komunikatów:

„Halinko J. z R." — Wybacz, Kochanie, że wcześniej nie odpisałam, ale miałam dużo pracy. Serdeczne pozdrowienia dla całego Domu. Mocno Cię ściskam i całuję.

„Klarcia Wł. z G." — Serdeczne pozdrowienia od—?... domyśl się sama. Jak nie zgadniesz, to pisz, a uśmiejesz się na pewno. Pa!...

P. K. A. — O..... — Przesyłam serdeczny uścisk dłoni. Znamy się, — proszę troszeczkę się pogłowić.



Wszystkie „Siostrzyczki" tej wielkiej „Rodziny" ściskam, a „Braciszkom" przesyłam pozdrowienia, prosząc wszystkich, by o mnie nie zapomnieli".

NIE WIEM...

Nie wiem, czy przyjdzie kiedyś ta chwila,
W której sny moje zadrgają blaskiem
I serce me, jak kwiat się rozchyli,
Jak koncha na dnie morskiego piasku.

Nie wiem, czy będzie mi kiedyś danem
Tulić do piersi drogą istotę
I kochać ją sercem wezbranem —
Morzem miłości, jak słońce złotej.

Tadeusz Rawicki.

W TEJ MYŚLI!...

„Poziomka z Podlasia". Przyjmuję Panią do „Krainy" i proszę czuć się w niej, jak w swoim własnym domu, albo nawet i lepiej!

List Pani został wysłany pod właściwy adres, a jakie będą jego skutki — nie wiem!

Dziękuję Pani serdecznie za te wszystkie słodkie życzenia, skierowane pod mój adres, z życzeniem dużej wygranej na loterii włącznie.

Myślę, że będzie Pani jedną z pilniejszych korespondentek „Krainy" i w tej myśli kończę na razie rozmowę. Niedługo będą jej dalsze ciągi — prawda?

WIDZĘ CIĘ!...

„Maleńka Reri". Niech odtąd w życiu Twym, jak piszesz, smutnym jaśnieje więcej dni radosnych i pięknych, na podobieństwo Tego, w którym pierwszy raz wpadł Ci w rękę nasz tygodnik. A „Kraina" niech Ci będzie zaczarowanym kołem szczęścia i przyjaźni!

Widzę Cię już, jak pochylona nad różowym arkusikiem stawiasz te drobne, cieniuteńkie literki i uśmiechasz się jasno do zdań, które piszesz dla swych nowo-zdobytych przyjaciół. Obyś ich miała dużo!

Pozdrawiam Cię i daję Twoje komunikaty:

„Jadzia" — Coś mi się wydaje, że znam Cię. Może rozjaśnimy zagadkę? Napisz kilka słów!

„Avery" — Przyjm siostrzane pozdrowienia!

„Dyktatorze" — Chętnie porozmawiałabym z Tobą, lecz napisz Ty pierwszy, ja nie mam odwagi!

Dla pozostałej „Rodzinki" milutkie pozdrowienia".

POSTARAJ SIĘ PRZYJECHAĆ!

„Zbijobruk poznański". Naturalnie, Dziecino, że zawsze cieszę się, gdy mam dowody pamięci mych Sympatyków i absolutnie mądrze to sobie wykombinowałaś. A jeszcze jedno powinaś zrozumieć, to mianowicie, że wolę listy bodaj najdłuższe i dzięki temu wyczerpujące sprawy, które dotyczą osoby piszącej, niż krótkie i nic nie przynoszące oprócz pozdrowień.

O, tak! Młodo kończysz studia, możesz sobie powiedzieć, że dobrze wykorzystałaś zdolności — daj Ci Boże i nadal tyle pilności i wytrwałości!

Pseudonim, o którym piszesz, dawno już nie pisał do mnie, tak, że straciłam jego ślad. Żałuję, że nie będziesz mogła przyjechać do Żnina dn. 11 września, tak przyjemnie było by porozmawiać przez chwilę osobiście!

No, ale ponieważ raz jednak musisz przyjechać, zatem postaraj się to uczynić teraz, gdy będziesz miała jedyną okazję poznania wielu członków naszej „Rodzinki".

Posyłam Ci przyjazny uścisk dłoni i przedrukowuję komunikaty:

„Bursztynowe Serduszko" — co się z Tobą dzieje? pisz na stary adres, bo ja Twego nie znam. Tysiące buziaków!

„Basiu"': Cóż Ty ze mnie zrobiłaś? — „rozbójnik" — straszne rzeczy! Napisz do mnie koniecznie, wiążą nas podobne przeżycia. Ślę Ci dużo pozdrowień.

„Kwitnąca Różyczko": Dziękuję za serdeczność. Podaj adres!

„Smutna Iwonko". Ślę Ci koleżeńskie pozdrowienia.

„Wesoła Kokuś": Czy się nie mylisz? Podaj inicjały!....

„Ferdy" — wesoły Dzieciaku — lubię „dzieci" i przygody — chciałabym, byś do mnie napisał.

„Łobuzowi z Orchowa" dziękuję za pozdrowienie. Napisz.

Pozdrowienia dla „Szydercy"' „S. 13", „Mileczka 86685", „Uśmiechu majowego" i całej „Rodzinki". Może ktoś zna adres p. F. Barylskiego — proszę bardzo o łaskawe podanie".

MAM ŻAL DO PANA

„Szyderca". Tak to zazwyczaj płaci się gniewem za przychylność, wyrzutami za to, że obdarza się ludzi sympatią. Mniejsza!

Okazuje się, że ostatni mój list do Pana był jakby spłoszonym ptakiem, bijącym trzepotliwie skrzydłami w ucieczce przed burzą, która zbliża się z gwałtownym pospiechem i niedającą się uniknąć konsekwencją.

I właśnie dlatego, że burza była również bezpodstawna, jak gwałtowna — mam żal do Pana.

Gdyby ten „piorunujący" list był przyszedł trochę wcześniej, zanim oddałam skrypty do druku, nie byłbyś otrzymał mych słów, dyktowanych bliżej nieumotywowaną sympatią, którą miałam dotąd dla Ciebie, mimo, że zawsze mi prychasz, jak małe, nieutemperowane kocię. Lecz z całą pewnością byłyby w tym liście twoje komunikaty, o które Ci jedynie chodzi.

Ponieważ dzięki wymówkom, które się posypały na moją — mało w tym wypadku winną głowę, nie wierzę w prawdziwość Twych pozdrowień, rzekomo serdecznych — przeto odwzajemniam się tylko jak najbardziej poprawnym towarzyskim ukłonem i przechodzę do komunikatów.

„Hallo"! Miłe i bardzo serdeczne pozdrowienia oraz moc tchnących żarem lipcowego słońca słów przesyłam Isi H... ze Żnina, życząc Jej zarazem moc miłych wrażeń wywczasów wakacyjnych, Marysi K... z Chmielnika, Geni S. ze Stanisławowa, Tosi M... z Halicza, Jadzi A... z Tuchowa, Irce Floriańskiej z Grudziądza, oraz miłej „Li" S... z Nielborka — tą ostatnią zapytuję, dlaczego tak długo milczy — czy było nieciekawe wrażenie z rendez vous i G...?

„Adzie — Marzycielce" dziękuję pięknie za pozdrowienia i przesyłam wzajemne.

„Wesołemu Banialukowi" czy „Banialuczce" za pozdrowienia merci, w rewanżu pozdrawiam również mile.

„Wesoła Różyczko"! Zaczepiasz, a po tym milczysz niedobre stworzenie! List wysłałem 13. 7. br. czy leży na poczcie w Grudziądzu, czy doszedł do rąk właściwych, nic mi o tym nie wiadomo!... Pozdrawiam mile i... żegnam bez łez.

„Bursztynowe Serduszko" proszę o zwrot mojich fotek wysłanych do Niej 25. 5. 38. List bez odpowiedzi — co? Ej, gniewam się na zawsze! Fotki posłałem z tym warunkiem, że po obejrzeniu zwrot — czy nie tak? Czekam na fotki i pozdrawiam!"

PRZEŻYJESZ BAŚŃ NIEJEDNĄ!

„Kropelka leśnej rosy". Niech Twój pseudonim pozostanie taki jakim był od początku — to nic, że jest nieco długi, gdyż jest ogromnie miły!

Jesteś więc na obozie? Czuj się tam, jak prawdziwa kropla rosy na cudownie świeżych leśnych trawach.

Z podwyżki Twej pensji mocno jestem zadowolona. Może też ona przyczyni się bezpośrednio do tego, że wemźiesz udział w zjeździe Reklamiackim. Chcę, abyś przyjechała!

Owszem, dużo jest osób smutnych w „Krainie"', ale naprawdę nie wszystkich spotykają zawody. A jeżeli chodzi o wiersze, to widocznie okres przedjesienny tak wpływa, że łka w nich jeden wielki smutek i tęsknota. Właśnie to jesień jest sama w sobie pełna melancholijnego smutku i nieukojonej tęsknoty, jakiegoś smętnego oczekiwania — nic dziwnego przeto, że odbija się to w twórczości poetów, którzy wszak należą do kategorii ludzi ogromnie spostrzegawczych, wrażliwych i czułych na wszelkie możliwe nastroje. I dobrze, że tak jest — dzięki temu mamy moc uczuć, wrażeń, myśli i nastrojów, zaklętych w baśń poezji.

Jeżeli chodzi o baśnie, to Ty tam w cudnym Garczynie możesz przeżyć niejedną — tylko miej oczy otwarte i wrażliwą duszę! Życzę Ci tego serdecznie.

„Sportsmenkę z Kujaw" zapytujesz, czy zobaczycie się w Garczynie? „Wesołemu Banialuczkowi" posyłam wesołe pa! Zaś kochane „siostrzyczki" i „braciszków" z „Krainy" pozdrawiasz.



MINĄ...

Miną wakacje...
Miną nasze złote dni...
A po tym tylko, w wieczór jesienny,
serce będzie śnić.
I wtedy z piersi mojej
Dobędzie się westchnienie
I wtedy mrok jesienny
Przerodzi się w marzenie...
O tych wieczorach letnich
Razem spędzonych wśród pól,
O tych miłosnych słowach,
Co ukoiły życia ból.
I wtedy znów będziesz ze mną
Moją własną, mnie tylko oddaną,
Jak w te wieczory letnie
— zakochaną.

„Leon".

OTRZYMAŁEM MALEŃKĄ BURĘ...

„Przedwiośnie". Pomimo, że dzień dzisiejszy jest niezwykle ponury i deszczowy, widzę same barwy, czuję dotyk słonecznych promieni i chłonę zapach górskich kwiatów. A wszystkiemu winien liścik Pani! Tyle w nim bowiem tych barw słońca i zapachów górskich, że udzieliło się to mojej wyobraźni i fantazji. Wyznam szczerze, że z tego powodu otrzymałem nawet maleńką burę, zaznaczam jednak że maleńką i bardzo łagodną. Proszę sobie wyobrazić — od PP. zecerów naszych zakładów! Twierdzą oni, że najwyższy czas, abym odpowiedzi dał do druku, gdyż, (co nie daj Boże!) numer może wyjść z opóźnieniem. Zupełnie to rozumiem, dlatego zbieram moją przytomność, daję na chwilę w łeb fantazji i spieszę się!

Moje Drogi „Przedwiośnie"! Proszę mi podać swoją rączkę! O tak, dziękuję Pani z całego serca za ten dobry, słoneczny liścik. Nie zapomnę go tak szybko, proszę mi wierzyć!

NIE POWIEM...

„Zygmunt z Wołynia". Widzę, że jest Pan zwolennikiem t. zw. „nowej poezji". Cisza u Pana — „drży w ramionach", „usta obrastają modlitwą", „kwiaty tańczują smakiem wina", „koniczyna polna pełza fioletem" itd. Nie powiem, aby wiersze Pana były efektowne. Poezja musi prosto i jasno przemawiać do czytelnika. Zrozumieli to poeci, należący do osławionej „Awangardy" i zarzucają stopniowo monstrualny sposób wierszowania, a wracają do prostoty. Proszę pójść za ich przykładem i spróbować napisać coś bezpośredniejszego i więcej ujmującego. Łączę miłe pozdrowienia.

ŻAŁUJĘ...

„Erry Olgin". Żałuję, że tak mało Pan o sobie napisał. Np., czy dawno już Pan tworzy czy zamieszczał już gdzieś swoje prace itp. Niezależnie jednak od tego przyjmuję Pana z całą serdecznością do grona mych młodych Przyjaciół. A czynię to, pełen wiary, że wiersze Pana będą podobały się Czytelnikom „M. Powieści", podobnie, jak i mnie się podobają. Szczególnie utwór — „Predudium", który niżej zamieszczam. Na dalsze przesyłki Pana — czekam pełen emocji!

PRELUDIUM

Rozbij mnie, Wielki Boże, w atomy świetlane,
Migocące w przestrzeni, jak srebrne planety,
Jak błyszczące się w mroku łzy niewypłakane,
Słoneczne tak, jak oczy kochanej kobiety.

Jam szalone Twe dziecko i nieraz bluźnierca,
Mnie męczą ziemskie szlaki goryczą usiane;
Wybacz. Panie! I błagam z gorącego serca:
Rozbij dziś duszę moją w atomy świetlane.

By iskierki mej duszy światłem księżycowem
Otuliły tą jedną, ukochaną głowę.

„Erry Olgin".

A MOŻE?...

„Romantyczny Śpiewak". Rysunek kapitalny! Gdyby w grę nie wchodziły względy techniczne — dałbym go do „Teczki". A może uda się Panu wykonać go lepiej na papierze rysunkowym, czarnym tuszem? Proszę spróbować!

Wyobrażam sobie lekkie zdziwienie Pana, że posłużyłem się jeszcze starym pseudonimem. Otóż wyjaśniam sprawę, że wina leży po stronie Pana, ponieważ nowy pseudonim jest zupełnie nieczytelny.

Łamigłówki przekazałem do „Chwili Zastanowienia".

Nowela — „Tragedia miłości" — nie została przyjęta do druku.

Kończąc pozdrawiam Pana i niżej podaję Jego dopisek, dołączony do listu:

„Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom ślę serdeczne pozdrowienia. Panu Mieczysławowi Grzegorskiemu prośbę o krótki wierszyk, za który się zrewanżuję".

TRZYMAM ZA SŁOWO!

„Blady Kwiat". „Postaram się pisać rzeczy piękniejsze i bardziej udatne"... Trzymam Pana za słowo!!!

Wiersze — „Kiedyś" i „Różyczka" — nie zamieszczę. Są dość słabe, a wiem, że stać Pana na lepsze.

Pisze Pan powieść! Z niecierpliwością oczekuję jej wydania. Tym czasem ślę Panu przyjazny uścisk ręki i życzę Mu dużo natchnienia do pracy.

CHĘTNIE JE PRZEJRZĘ...

„Harit". Z przyjemnością stwierdzam, że będę miał w Pani zdolną Sympatyczkę. Wiersze, miejscami posiadają niedociągnięcia, ale wyraźnie mówią o pewnym polocie poetyckim i trochę filozoficznym zacięciu. Proszę pisać i prace swoje kierować do mojej „Teczki". Chętnie je przejrzę i o ile będą bez usterek — zamieszczę. Na razie ślę Pani silny uścisk dłoni i czekam na następną przesyłkę!

TRZEBA PISAĆ PO JEDNEJ STRONIE PAPIERU

„Hala". Wiersze, jak i również inne utwory, przeznaczone do druku, trzeba zawsze pisać po jednej stronie papieru. Pani, niestety, nie uwzględniła tego, a nawet wiersze przepisała tak niewyraźnie, że trudno mi zorientować się w ich treści. Na przyszłość proszę pisać czytelniej i jak wyżej wspomniałem, po jednej stronie papieru.

na pokładzie którego znajdowało się 90 pasażerów. W czasie podróży Ocean był bardzo burzliwy, co zmuszało wszystkich do pozostawania w kabinach. Drugiego lutego okręt przybija w St. Thomas, a szóstego w Hawanie. Tropikalne miasto mieni się pstrokacizną lokalnych barw; w chwili przybycia okrętu mali Murzynkowie skaczą w porcie do morza i wyławiają rzucane im przez pasażerów monety.

Bliskość Meksyku daje się już odczuwać. Okręt płynie wzdłuż brzegów Yukatanu. Członkowie misji patrzą w zdumieniu na nieznane krajobrazy, na wybrzeża pokryte gęstymi lasami, na wyspy wyłaniające się z błękitu oceanu. Wkrótce widać już białą przystań Vera Cruz, gdzie następuje wylądowanie w dniu 10 lutego.

Misja zostaje powitana przez specjalnych wysłańców, którzy mają za zadanie eskortować ją i zatrzymuje się na pierwszy postój w Paso del Macho w odległości 20 klm od Vera Cruz. Droga wciąż pnie się w górę, odsłaniając zachwycające panoramy. Niebo, ziemia, kwiaty, zieleń, ptaki — wszystko jest nieznane i niezwykłym swym czarem silnie przemawia do prozaicznej wyobraźni posłów. Po nocy spędzonej w niezbyt wygodnym hotelu, dalsza podróż, dalsze wspinanie się wśród wciąż zmieniających się krajobrazów; przed oczami przesuwają się góry, lasy, wyniosłe szczyty to ukazujące się, to ginące w dali, pola kaktusowe na wysokich wzgórzach, które nagle opadają w dół lejowatymi skrętami, wioski i różowo malowane pulperie z otworami okiennymi bez szyb, gdzie pije się ciepły, piekielny napój, przyprawiający o szaleństwo Europejczyków.

W Orizabie oczekuje delegację sześciu uzbrojonych jeźdźców, by ją eskortować do Cordoby. Jakże miło pomyśleć, że tam w Europie trwa jeszcze mroźna, śnieżna zima, podczas gdy tu dzieci znoszą już z lasów olbrzymie bukiety fiołków pachnących wiosną. Trzynastego lutego posłowie wjeżdżają do Puebli, głośno wiwatującej i przybranej kwiatami. Cesarz miał tu przybyć na spotkanie misji, został jednak zatrzymany w Cuernavaca przez złośliwą dyzenterię, a może... przez piękne oczy uroczej ogrodniczki. Piętnastego lutego orszak opuszcza Pueblę o drugiej w nocy, by zdążyć do Meksyku na szóstą wieczór.

Karolina, ogarnięta tęsknotą za mężem i pragnąc go przywołać do obowiązków panującego, wyjechała na krótko przedtem do Cuernavaca, skąd odbyła pielgrzymkę do Matki Boskiej z Gwadelupy. Klęcząc na marmurowej posadzce, wyniszczonej przez licznie tu przybywających z błagalnymi prośbami Indian, cesarzowa w żarliwej modlitwie prosiła wszechmocną Madonnę o rychłe zesłanie jej potomka.

Po południu Karolina udała się na walkę byków, której widok wstrząsnął nią do głębi. Olbrzymi cyrk pod otwartym niebem. Miejsca ocienione, a przez to drożej opłacane, zajmuje publiczność wytworna, na stopniach zalanych słońcem rozsiada się pospólstwo. Ponad głowami widzów przelatują rzucane na arenę kapelusze. Przed rozpoczęciem walki toreadorzy pozdrawiają cesarzową. Nieszczęśliwe konie, mimo, iż mają zawiązane oczy, instynktownie cofają się w tył, przeczuwając niebezpieczeństwo. Byki, rozjuszone banderillami, uderzają w czerwone płachty, a nie trafiwszy w człowieka, mszczą się okrutnie na mizernych szkapach, rozpruwając im brzuchy rogami. Jeźdźcy wypadają gwałtownie z siodeł, a rżące z bólu konie, depczą kopytami własne wnętrzności, wlokące się po ziemi. Naród wyje w podnieceniu, naród jest zadowolony! Gdybyż to tak można pewnego dnia stać się bykiem, by krwawo zemścić się za wszystkie wycierpiane okrucieństwa!

Wieczorem cesarzowa uświetnia swą obecnością bal maskowy, wydany na jej cześć. Piękne dziewczęta hiszpańskie w koronkowych mantylach, upiętych na wysokich grzebieniach, składają ceremonialne ukłony, stare dueny, uwiędłe w cieniu wiejskich haciend, całują jej dłonie. Cesarzowa odczuwa jednak, iż oklaski i hołdy są mniej szczere i serdeczne niż zazwyczaj. Cień Juareza przesuwa się głośno między zebranymi. W górach rozlegają się strzały muszkietów. Metysi o dzikich twarzach popijają „pulk“ z złowrogim chichotem; tajemny lęk serca; w ciemnościach nocy rozbrzmiewają urywane, chrapliwe słowa, słychać rżenie koni. Cesarzową przechodzi dreszcz. Musi jednakże okazać się spokojną i dumną, musi udawać iż nie dopuszcza ani przez chwilę myśli o jakiejkolwiek zdradzie, iż nie wie, że nawet żołnierze z jej świty są przejęci trwogą przed niewidzialnym wrogiem.

23 lutego, delegacja belgijska, przebywająca w stolicy, otrzymuje od cesarza telegram z zawiadomieniem, iż z powodu choroby zostanie chwilowo zastąpiony przez małżonkę. W wilię tego dnia zmarł niespodzianie minister Langlais, nieskazitelny człowiek i nieoceniony pracownik. Nie szczędząc wysiłków, Langlais pracował niestrudzenie nad powikłanymi sprawami finansów państwa i wszystko zdawało się wskazywać na to, iż doprowadzi swe dzieło do pożądanych rezultatów. Nagle, po krótkiej chorobie, zeszedł z tego świata. Czyż by wykrył zbyt wiele nadużyć, zbyt wiele łapówek, zbyt wiele ciemnych kombinacji, które miały pozostać nieujawnione? W Meksyku nie brak wszak straszliwych indyjskich trucizn, zabijających bez pozostawienia śladów! Czyż palec nieszczęścia, wskazawszy biednego Langlais, nie dotknie potem innych? W czyich rękach spoczywa ta toksykologia preparująca proszki, maście, napoje z soków roślinnych? Czyja dłoń tajemnicza wlewa zabójczy balsam? W jakich okolicznościach Langlais został skazany na śmierć? Kiedy był stracony i przez kogo? Kto pośród cesarskiej świty jest tym tajemniczym osobnikiem, który zaprzedał się zdrajcom cesarstwa? Karolina wciąż jeszcze ma ataki maligny, zimnych potów, utraty przytomności, wyczerpujące jej siły do ostatka. Czyż i ją dotknął już palec indyjskich czarowników? Czy uzdrawiający napój z Chichen-Itza śpiewa jeszcze w jej krwi? Wieczorem, gdy cesarzowa chce usnąć, opadają ją nieludzkie koszmary, torturują, dręczą i niszczą jej wspaniałą siłę woli. Jutro cesarzowa musi przyjąć swych przyjaciół z Belgii, których nie miała sił dziś powitać, mimo iż oczekiwała ich z taką niecierpliwością, była bowiem straszliwie przygnębiona żałobną wieścią i obawiała się wywrzeć na swych rodakach to ponure wrażenie, jakie odczuwają teraz wszyscy odwiedzający suwerenów Meksyku.

Wkrótce Maksymilian opuszcza Cuernavaca i przybywa do Chapultepec. Ku czci misji belgijskiej organizuje się liczne uroczystości: przyjęcia w ambasadzie, wizyty u ministrów, garden-party z udziałem dygnitarzy francuskich, wycieczki w okolice Chapultepec, podczas których cesarz usiłuje zatrzeć u swych gości niemiłe wrażenia z pierwszych dni pobytu w Meksyku. Maskarady, kawalkady, zabawy nocne, sztuczne ognie, meksykańskie petardy! Belgowie są zachwyceni uprzejmością suwerenów; w dniu 3 marca cesarz na pożegnalnej audiencji obdarowuje delegatów fotografiami z dedykacją. Karolina staje się smutna i melancholijna: wraz z odjazdem delegacji znikną więzy, łączące ją z krajem dzieciństwa, znikną słodkie wspomnienia, dając chwilowe zapomnienie przykrej rzeczywistości. Zostanie już tylko majestatyczna cesarzowa, kobieta wielkiego ducha i niezwykłej wspaniałomyślności, która w chwilach samotności płacze nad ogromem nieszczęść, przyspieszających upadek Cesarstwa. A jednak trzeba być dzielną, trzeba być dzielną aż do końca, trzeba rozpaczliwie utrzymać się na powierzchni i okazać się większą od swej wielkości.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

9)

BOGDAN LEKSTYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

Czerwicki dosyć miał już niespodzianek, by pragnąć jeszcze jednej: schwytania poraz drugi.

Odczekał, aż trzej przestępcy, którzy nie wiadomo jakim cudem znaleźli się znowu na wolności, weszli do willi, poczem lotem strzały przebiegł park, przelazł przez mur i skoczył na chodnik uliczny.

Przechodząc w chwilę później przed bramą parkową, przekonał się, że stoi tam dorożka nr. 73.

— Czeka pan na kogo? — zapytał, przystając.

— A czekam.

— Nie mógłby pan zawieźć mnie przed dworzeć?

— A nie, bo panowie, których odwiozłem, mają wracać za godzinę.

— Za godzinę?! Człowieku, przez ten czas można by dwa razy obrócić!

— Racja fizyka! Siadaj pan. Dokąd?

— Do wydziału śledczego!

Zegar wieżowy uderzył dwanaście razy. Nigdy jeszcze dźwięk zegara nie wydawał się Janowi tak bardzo złowróżbny...

XXVIII.
SOMERSONNE

Dokoła biurka w gabinecie Wareckiego siedziało czterech mężczyzn w czterech głębokich fotelach klubowych. Kulicki, Warecki, Rosenberg i Kunz. Przed każdym z nich stała lampka koniaku.

Odkąd znaleźli się tu razem, nikt nie przemówił jeszcze ani słowa. Twarze ich wyrażały oczekiwanie i niepokój.

Wreszcie Warecki, odsunąwszy rękaw marynarki, spojrzał na platynowy zegarek.

— 12,30... — rzekł — Jabłowicz?

— Zupełny wariat — odparł Kunz chrapliwym szeptem .— Dlatego zwolnili go z więzienia....

— Hm! Byliby go i tak zwolnili...

— Może byliby go zwolnili, a może i nie...

— Skoro mówię!

— Wszystko jedno! — wybuchnął Kunz. — Co nas obchodzi Jabłowicz? On już nic nigdy w życiu nie powie.

— Gdy do głębokiego stawu wrzuci się kamień, poruszy się tafla wody i wkrótce uspokoi, ale kamień tkwi!

— On jest nieuleczalny!

— To jego szczęście. Inaczej...

Rozległo się ciche pukanie.

— Wejść!

W drzwiach ukazało się dwóch ludzi o twarzach typowych przestępców. W oczach ich znać było przerażenie.

— Czego? — spytał szorstko Warecki.

— Nasz więzień...

Urwał, jakby to, co miał powiedzieć, nie chciało przejść mu przez gardło.

— No, więc: co więzień?! Gadać odrazu.

— Uciekł...

Czterej siedzący porwali się z foteli.

— Co?! Uciekł?! Jakim sposobem?!...

— Kraty przepiłowane, siatka tak samo...

— Musieliście go, durnie, zostawić niezwiązanego!

— Nie, związaliśmy mu ręce i nogi, a przytem przymocowaliśmy go do haka... Miał chustkę na oczach i knebel...

— Sam nie mógł uciec, to wykluczone! — wybuchnął Kunz. — Ostrzegałem przed Sławiczem... Kto ostrzegł tego młodzika, kto, może objaśni mię któryś z was?!... Niech was piekło pochłonie!

— Wiesz dobrze — głos Wareckiego był świszczący i zimny — że trzej śmiertelni wrogowie Sławicza zastawili nań pułapkę.

— Wiem jeszcze lepiej, że on gwiżdże sobie na wszystkie pułapki! Obym nie był złym prorokiem, ale coś mi się zdaje... Na wszystkich diabłów piekła, tamci powinni przecież być tu już od godziny.

— Mogły zajść okoliczności... — wtrącił Rosenberg .— No, okoliczności, jakby tu ...paskudne okoliczności...

— Tak, paskudne okoliczności, które sprawiły, że zamiast... Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma!

— Nie kracz, nie kracz, Kunz... — rzekł złamanym głosem Kulicki. — Czy nie dość Sommersonna? A do tego jeszcze nagroda policyjna i ten, ten Czerwicki, który jest doskonałym materiałem detektywa... Doprawdy, jesteśmy zapędzeni w ślepą uliczkę, z której nie widzę wyjścia. Cóż z tego, że nas puszczono, skoro lada godzina może wyjść na jaw omyłka i... Ja wam mówię, że każde łajdactwo...

— Pocóż popełniłeś te łajdactwa, jak je nazywasz, skoro lękasz się teraz własnego cienia? — rzekł twardo Wareski.

Kulicki spojrzał nań z miażdżącą pogardą, ale nim zdołał odpowiedzieć, znów dało się słyszeć pukanie.

W progu stał jakiś osobnik w podartym ubraniu. Twarz jego, ręce, rozpięta na piersiach koszula, umazane były w krwi. Słaniał się na nogach, a jego oczy zasnuwały się mgłą.

— Sławicz?! — wykrzyknął Warecki, straciwszy już ponownie nad nerwami, które napięte były jak struny.

— Sła...wicz... — powtórzył prawie niedosłyszalnie .— Sławicz... on jest tu... gdzieś... koło was... On jest wszędzie...

— Co z wami się stało?? Kto was tak urządził?! Gdzie tamci? Nie udało się wam? Czy to policja?

Warecki nieswoim głosem spytał pytaniami, nie spodziewając się nawet odpowiedzi. On wiedział, wiedział, wiedział! Pytał, by mieć czas opanować trwogę, która nagle chwyciła go za gardło i tamowała oddech.

— Po...licja... — odpowiada ranny coraz niewyraźniej. — Tam... ci siedzą... ja uciekałem... strze...la...li...

Osunął się nagle na podłogę. Nie żył już.

Warecki ,opanowawszy się w sposób niezrozumiały dla siebie samego, popatrzył na swoich towarzyszy.

Kulicki siedział z twarzą ukrytą w dłoniach; z gardła jego dobywał się jakiś niesamowity skowyt, mrożący krew w żyłach. Kunz patrzał na niego. Warecki, z dziką nienawiścią; twarz ta nie była teraz ludzką twarzą: była twarzą szatana. Rosenberg ,trupio blady, rozszerzonymi lękiem źrenicami wpatrywał się w zwłoki, a wargi jego trzęsły się jak w ataku malarii. Dwaj słudzy, stojący w drzwiach, mieli takie miny, jakby chcieli drapać.

Wzrok Wareckiego zatrzymał się na służących. Właściwie tylko na tych dwóch mógł liczyć, wiedział o tym bardzo dobrze. Kunz nienawidzi go, Rosenberg myśli tylko o własnej skórze, Kulicki jest zupełnie złamany. Ci dwaj byli pewni, ale jeden z nich tylko obdarzony był odrobiną sprytu i dlatego on jeden wchodził w rachuby Wareckiego. Dlatego, zrozumiawszy, że wszystko stracone, że nie uda mu się ocalić ani szeląga z bogactw, posiadanych w Polsce, postanowił teraz, że postawi wszystkich na pastwę losu z wyjątkiem owego sługi, który tak dobrze odegrał rolę Żyda.

Potrzebował tylko zapalić sygnał na dachu willi, a nim przedostanie się na pola



Oryginalne gniazda wiją sobie ptaki, żyjące w dziewiczych puszczach Ameryki Południowej

małobędzkie, oczekiwać już tam będzie na niego samolot i — wolność. Wolność i kapitały, bądź co bądź, znaczne, złożone w bankach zagranicznych. Nie, nie zabierze z sobą tych durniów. A zresztą pocóż ma dzielić się z nimi złotem?

— Weźcie trupa — rzekł do służących — i wrzućcie go do Przemszy, obciążywszy dobrze kamieniami.

Nim wyszli nachylił się do ucha jednego z nich i szepnął coś. Szpetna twarz złoczyńcy rozjaśniła się. Skinął skwapliwie głową na znak, że rozumie.

Porozumienie to nie uszło uwagi Kunza. Wprawdzie tylko stosunkom Wareckiego zawdzięczał swoje uwolnienie z więzienia, ale teraz zaczął wietrzyć zdradę.

— On coś knuje... — pomyślał i nie spuszczał go z oczu.

I dlatego, gdy po chwili Warecki chciał opuścić gabinet, agent zastąpił mu drogę.

— Dokąd? — warknął.

Twarz herszta pokryła się bladością, a ręka mimo woli wsunęła się do kieszeni spodni.

Ale Kunz wcześniej dobył rewolweru.

— Widzisz! — zaśmiał się nienawistnie. — Przejrzałem cię.. Chciałeś dać sygnał i zostawić nas na lodzie!

Kulicki i Rosenberg porwali się z foteli.

— On, ten łajdak?... — szepnął inżynier, a oczy jego, zgasłe przed chwilą, sypnęły błyskawicami.

Warecki wzruszył pogardliwie ramionami.

— Durnie! — wycedził z wściekłością — Czy po to wyciągałbym was z kryminału, gdzie gnilibyście dotąd?

— Chciałeś spieniężyć swoje dobra! — wrzeszczał Kunz. — Tylko my mogliśmy



Mali towarzysze zabaw

Na środku gabinetu stał ich śmiertelny wróg, trzymając niedbale ręce w kieszeniach.

Trzy pary oczu wpatrywały się weń z nienawiścią i obłędną trwogą.

Sommersonne uśmiechał się.

XXIX.

PRZECIWNICY PADLI, ALE...

Kunz schylił się nagle i podniósł z podłogi jakiś czarny przedmiot, który ukrył w dłoni. A później ręka agenta, powoli,

mersonne, że to cię uratuje przed zasłużonym końcem, jaki sam sobie zgotowałeś?! Teraz, gdy nic już nie mamy do stracenia, życie twoje mniej dla mnie znaczy, niż życie muchy! Pocoś tu przyszedł, Sommersonne, powiedz... Przyszedłeś naigrawać się! Nie zaprzeczaj, ja wiem.

— Pan nie tylko jest skończonym szubrawcem, panie Kunz... — rzekł zimno wynalazca —. Pan jest także śmieszny i głupi. Nie tylko bez skrupułów korzystałeś z dochodów za wynalazki człowieka, ograbionego przez łajdaków, ale jeszcze nabrałeś przekonania, że dochody te słusznie ci się należą! I teraz masz czelność przemawiać do mnie w ten sposób, ty nędzniku! Przyszedłem zaproponować wam, abyście złożyli publiczne oświadczenie, że wynalazki, z których przez trzy lata czerpaliście dochody, są moim dziełem i że ja tylko mam do nich prawo. W tym wypadku przestałbym się wami zajmować. Ale teraz rozmyśliłem się: będę was prześladował do końca waszych dni! Nie zapomniecie o mnie ani na chwilę, zatruję wam każdy kęs jadła i każdą godzinę snu!...

Sommersonne, mężczyzna niewielkiego wzrostu, wydawał się w tej chwili olbrzymem. Oczy jego ciskały błyskawice, a twarz płonęła nienawiścią i pogardą.

Kulicki i Rosenberg, który wypuścił z ręki rewolwer, drżeli na całym ciele; Kunz stał z obwisłymi ramionami w pozycji uszkodzonego manekina.

I wtedy otwarły się nagle drzwi, a z piersi wszystkich czterech mężczyzn wydarł się okrzyk przerażenia.

Tuż za progiem stał Straszliwy Trup. Wyglądał jeszcze potworniej, niż kiedy-

ci dopomóc! Teraz, gdy wszystko przepadło, gdy Sławicz ma nas w sieci i tylko łapę wyciągnie, a schwyta wszystkich jak piskorze, teraz jesteśmy ci już niepotrzebni!

Palec jego kurczowo nacisnął cyngiel rewolweru i Warecki, ugodzony Kulą w samo serce, zwalił się bez życia na ziemię.

Kunz wypuścił z ręki browning, który upadł z hukiem. Agent stał skamieniały z przerażenia. Strzał padł zupełnie bez jego wiedzy.

— Za-bi-łem go!... — stęknął i zakrył twarz dłońmi.

Kulicki, na wpół przytomny, grzmotnął go pięścią w głowę.

— Zbrodniarzu! Przeklęty! Przeklęty!

Jęcząc, upadł na fotel i skurczył się na nim jak raniony zwierz.

Gdy otworzył wreszcie oczy, zdawało mu się, że postradał zmysły.

powoli, zaczęła unosić się do góry. Ten sam ruch wykonywała ręka Rosenberga, aczkolwiek trzęsła się jak u starca.

Sommersonne przestał się uśmiechać.

— Ostrzegam panów — rzekł sucho — że o ile w ciągu godziny nie powrócę, służący mój, posiadający wszelkie kompromitujące was dokumenty, odda je do dyspozycji policji kryminalnej. Ponadto muszę powiadomić panów, że samolot znajduje się w rękach Sławicza...

— Łżesz! — wykrzyknął z nienawiścią Kunz. — Nikt w świecie nie mógł dowiedzieć się o tym aeroplanie!

— A skąd ja wiem?

Ręka agenta opadła wraz z rewolwerem.

— Tak — szepnął z wysiłkiem — to jest argument... Ale — rzucił z nowym przypływem wściekłości — czy myślisz, Som-

kolwiek, jedno bowiem oko miał wybite, a na jego miejscu czernił się głęboki otwór.

Kulicki osunął się w głębokim omdleniu z fotela na podłogę.

Rosenberg i Kunz oszaleli z trwogi, wlepili oczy nie w potworną zjawę, a w Sommersonna, który wydawał się niemniej przerażony od nich.

Inżynier, wyłamując nerwowo palce w stawach, patrzył chwilę na Straszliwego Trupa, a potem, jakby nagle zdecydowany, przebiegł obok niego i zniknął na korytarzu.

Wtedy potwór zaśmiał się i szeroko rozłożywszy sztywno ręce, ruszył, nie spiesząc się, na jubilera i agenta.

Nie uciekali, wiedzieli bowiem, że nie zdałoby się to na nic. Przyciśnięci do sie-

Ogólnopolski wyścig sztafetowy Biskupin - Żnin

Pierwszy ogólnopolski wyścig sztafet odbędzie się w niedzielę, dnia 11 września br. **NA TRASIE 12.600 m BISKUPIN—ŻNIN Wlkp.** o nagrodę przechodnią Ilustrowanego Kurjera Pałuckiego w Żninie. Start odbędzie się przy wykopaliskach biskupińskich, meta na terenie Targów Pałuckich w Żninie. Zespół sztafetowy składać się będzie z 3 zawodników, którzy przebiegną kolejno odcinki trasy I. — 3.500 m, II. — 4.500 m, III. — 4.600 m. Poza nagrodą przechodnią (puchar), ufundowane są nagrody dla dalszych zespołów i indywidualnych zwycięzców. Wszyscy zawodnicy korzystają z bezpłatnego zwiedzenia wykopalisk biskupińskich, Targów Pałuckich i Zakładów Wydawniczych Krzyckiego. Wieczorem odbędzie się wieczornica sportowa z tańcami w salach p. Smorowskiej, Rynek. Zgłoszenia wraz z wpisowym 2 zł kierować należy do: Pozn. Okręg. Zw. Lekkoatletyczny Podokręg Żniński. Bron. Siuchniński, Żnin Wlkp. Gnieźnieńska 7 m. 2, najpóźniej do 7-go września br.

bie, stali przy ścianie, między biurkiem a oknem, wychodzącymi z orbit oczami patrząc na przerażającą zjawę, która wolno, coraz wolniej zbliżała się do nich.

Raz, dwa... raz, dwa... ... raz, dwa...

Znalazłszy się o pół kroku od swoich ofiar, Straszliwy Trup z okrutną powolnością, jakby rozkoszując się śmiertelnym ich przerażeniem, począł przysuwać ręce do ich gardeł.

Jeszcze moment, moment niewypowiedzianej grozy i palce lewej ręki potwora zacisnęły się na szyi Rosenberga, a palce prawej ujęły z niesłychaną mocą gardło Kunza.

Charkot i rzężenie, jakie przerwały drętwą ciszę gabinetu, ucichły niebawem.

— — — — — — — —

Sommersonne, lotem strzały przebiegłszy schody i park, wskoczył do ciemnozielonego Chryslera, stojącego wśród krzaków przy bramie i nacisnąwszy starter, wyjechał na ulicę.

Limuzyna, pędzona największą siłą, na jaką zdobyć się mógł potężny motor, przemknęła jak pocisk ulicą Żeromskiego i wpadła w ulicę 3-go Maja, by po minucie wynurzyć się na Placu Kościuszki. Cudem niemal okrążywszy dwa niebezpieczne zakręty, pędziła ulicą Browarową z hukiem i warkotem.

I naraz rozległ się przerażający łoskot i trzask.

Sommersonne nie zauważył, że z obrębu kopalni Renard wyjeżdżał pociąg, ciężko obładowany węglem.

Ciemno-zielony Chrysler, wpadłszy na lokomotywę, wynurzającą się na przejeździe, rozpadł się nagle jak dziecinna zabawka, nieostrożnie rozgnieciona butem.

Inżynier, wyrzucony z siedzenia, runął głową na bruk, który momentalnie zabarwił się krwią.

Karetka pogotowia, zaalarmowana przez dróżnika, wkrótce nadjechała i odwiozła zwłoki do kostnicy...

— — — — — — — —

Czerwicki, wpadłszy do wydziału śledczego, oświadczył dyżurnemu, że widział Kunza, Rosenberga i Kulickiego. Wywiadowca popatrzył nań jak na wariata, wiedział bowiem dobrze, że wszyscy trzej siedzą w więzieniu, kiedy jednak Jan zażądał telefonicznego połączenia go z kierownikiem brygady kryminalnej, dyżurny zgodził się na to.

Wbrew przewidywaniom wywiadowcy, podkomisarz polecił mu wysłać natychmiast taksówkami ośmiu ludzi z komisariatu do willi Wareckiego, sam zaś, ubrawszy się naprędce, ruszył piechotą, mieszkał bowiem w pobliżu.

Pierwszym „łupem" kierownika było aresztowanie dwóch osobników, którzy chcieli wymknąć się z parku przez mur. Czerwicki poznał w nich bez trudu swoich prześladowców, a podkomisarz poszukiwanych od dawna rzezimieszków.

Gdy minęło wstrząsające wrażenie, jakie wywarł na wszystkich widok trupów, a zwłaszcza zwłok Rosenberga i Kunza, których sine twarze i wysunięte z ust czarne, opuchłe języki wyraźnie wskazywały na rodzaj śmierci, kierownik zrozumiał wkrótce wszystko, co zaszło i zwierzył się z tym Czerwickiemu.

— Wareckiego zastrzelił Kunz — rzekł — gdyż z rewolweru, który dotąd trzyma w kurczowo zaciśniętej ręce, strzelano bardzo niedawno,, a kula jest tego samego kalibru.

Pokazał młodzieńcowi kulę, która przebiła na wylot pierś Wareckiego, oraz wystrzeloną łuskę, znalezioną na podłodze.

— A jubiler i agent — mówił dalej, zadowolony ze swojej bystrości — padli ofiarą Straszliwego Trupa. Na szyjach ich pozostały brudne odciski palców Pauliny Staszowskiej. Co do Kulickiego, to uległ on prawdopodobnie omdleniu i dlatego ocalał. Teraz siedzi i nic z niego nie można wydobyć... — dodał ciszej. — Ale ten wstrząs nerwowy minie i wtedy dowiemy się wielu ciekawych rzeczy, bo zwolnienie ich jak przypuszczam, nastąpiło za poręczeniem jakiejś bardzo wpływowej osobistości, którą celowo wprowadzono w błąd. Historie takie zdarzały się już.

Urwał, obserwując z zadowoleniem zdumienie Czerwickiego, który wszakże zastanawiał się nad czym innym, nad tym, o czym podkomisarz nie wiedział jeszcze.

— Ale to jeszcze nie koniec, panie Czerwicki... — mówił stary policjant. — W kieszeni Wareckiego znalazłem pewne dokumenty i listy, na których podstawie jutro rano zaaresztuję drugiego pańskiego szefa, zastępcę dyrektora naczelnego, Stanisława Millerta. Co pan na to?

Ale Jan nie dziwił się już niczemu.

— Millerta, oraz sześć innych grubych ryb koncernu... Jak oni sprytnie okradali akcjonariuszów, ojojojojoj... Ale wpadli! Panie Czerwicki, zapraszam pana na dobrą kolację....

— Byle tylko jeszcze przed ich aresztowaniem nie dowiedział się o tym cały świat, jak o tym, o czym poufnie mówiłem panu przed chorobą... — zgryźliwie zauważył Jan.

— No, no, no, wie pan przecież, że i ja zaraz po panu zachorowałem od tego przeklętego gazu. Zdałem służbę ze szczegółami zastępcy, ten wygadał się jakiemuś wywiadowcy, a ten reporterowi...

Ostry dzwonek telefonu przerwał podkomisarzowi wywody.

— Ciekawe... — mruknął i zdjął słuchawkę z widełków.

— Co?! — zawołał — Zabity?! Identyczność stwierdzona? Dobry dzień, dobry dzień.

Rzucił słuchawkę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Budapeszt w nocy

RAJ KOBIET

Jesienna moda fryzur i kapeluszy

Wszechwładni twórcy mody w Paryżu podczas ostatnich miesięcy eksperymentowali. Chodziło o wprowadzenie nowej fryzury dla pań, polegającej na tym, aby włosy zaczesywać od tyłu wysoko, jak najwyżej — aż na czubek —głowy.

Fryzura była ładna, ale kapelusze o płaskich główkach, dużych rondach dziwnie nie harmonizowały z jej mocno opływowymi liniami.

Zdawało się, że nowe uczesanie szybko ustąpi miejsca innym, bardziej stosownym do kapeluszy, lansowanych przez najwytworniejsze magazyny Francji i Anglii.

Tymczasem stało się odwrotnie. Otóż w jesiennych modelach linie i fasony kapeluszy poddano gruntownej przemianie, w celu jak największego przystosowania ich do nowych fryzur, które tak niesłychanie przypominają nam owe noszone przez elegantki sprzed wojny światowej.

Przy tych fryzurach włosy układa się na czubku głowy w loczki, sterczące na kształt ostrego zakończenia hełmu lub rozrzuca w wachlarzyk płaskich pierścieni, a także zawija w podwójne i potrójne wałki, dość oddalone od siebie i umocowane oczywiście wysoko na głowie.

Na maleńkich arcydziełach sztuki fryzjerskiej, jakimi są obecnie fryzury, modne kapelusze filcowe, o pół, a również zupełnie wysokich główkach, z mikroskopijnymi rondami albo nawet bez, wyglądają na razie mocno ekstrawagancko. Tak samo śmiało wyglądają wymyślne kapelusiki popołudniowe, zawadiacko nasunięte na jedno oko, przybrane wstążkami, piórami lub kokieteryjnie założoną woalką, sięgającą zaledwie brwi. Tak, bo woalki, do których jeszcze przed dwoma laty panie odnosiły się z ogromnym niedowierzaniem, ostatnio nie wychodzą prawie z mody, powtarzając się w coraz to nowych wariantach.

I tak, gdy do popołudniowych fantazyjnych rien de tout o płaskich główkach nosi się je, jak już zaznaczyłam, zaledwie leciutko zwisające nad czołem, lub do innych, o szerokich rondach zarzuca się woalki śmiało na całą twarz, a nawet do ramion — do kapeluszy o charakterze angielskim używa się woalki dość gęstej, która pokrywając ściśle twarz, zachodzi pod brodę i jest związana wysoko nad podwiniętym rondkiem. Model taki mamy na naszej ilustracji.



Paryż zadecydował, że w jesieni panie będą nosiły włosy zaczesane do góry.

Są też modele o główce z przodu i z tyłu mocno wydłużonej (model na ilustracji), środkiem zaś wgiętej, co wygląda ładnie i jest bardzo twarzowe.

Kapelusze do kostiumów często mają, podkreślające ich sportowy charakter, stebnowania główek.

Kolory kapeluszy najmodniejsze, jak zwykle jesienią, zielonawo — żółty do czarnego kostiumu, jasno — niebieski z granatową wstążką lacqué, musztardowo — żółty z wstążką tabaczkowo brązową, popielaty z czarną. Ponadto widzi się rdzawo — brązowe, granatowe i oczywiście nieśmiertelne czarne, które pod zimę zapanują zapewne niepodzielnie.

Mirania Galińska.

Coś dla Pani

Panie o twarzyczkach ściągłych i małych noskach powinny używać szminek bardzo dyskretnie. Ładnie wyregulowane, cienkie brewki, przyciemnione pudrem ciemnym lub kremem powieki — rzęsy nieprzyciemnione — oto zasada maquillage'u pięknej pani o takim typie urody. Poza tym proszę pamiętać, że ładne drobne rysy zawsze lepiej harmonizują z uczesaniem gładkim — niech się pani strzeże fryzury nieodpowiedniej.

Rozrywki konserwują zdrowie

Ludzie samotni, zdenerwowani odganiają pustkę swego życia przez radio, które nie raz spełnia zadanie domowego lekarza. Muzyka dodatnio wpływa na psychikę i nerwy, zastępując często uspokajające i znieczulające lekarstwa. Znane są wypadki, kiedy podczas operacji stosowano muzykę jako środek znieczulający z jak najlepszym wynikiem, co się tłumaczy odbieraniem silniejszego wrażenia słuchowego niż czuciowego w tym samym czasie w ośrodku centralnym w korze mózgowej. Najbardziej uwidacznia się zbawienny wpływ muzyki w sanatoriach i szpitalach dla chorych nerwowo i umysłowo; odpowiednie jej zastosowanie poskramnia najbardziej gwałtownych chorych i zastępuje nasenne środki i brom.

Ale człowiek jest istotą towarzyską, toteż w samotności przeważnie źle się czuje. Dla tego każdy powinien umieć znaleźć sobie odpowiednie kółko znajomych, wśród których może wspólnie spędzić czas, wolny od zajęć.

Niestety obecnie prawdziwa mania brydżowa często zabija życie towarzyskie, a karty to namiętność ludzi przeżytych, które dają tylko chwilowe ucieczki od ciężarów życia.

Dlatego też powinniśmy wyszukiwać sobie bardziej godziwe rozrywki. Właściwym jest, abyśmy mogli zupełnie oderwać się od codziennego trybu życia. Polecać należy wszelkiego rodzaju ćwiczenie fizyczne, nie mówię tutaj naturalnie o jakiś zbyt intensywnych wyczynach sportowych, ale o dobrze zrozumianej kulturze fizycznej, która pobudza intensywniejszą przemianę materii i czynności układu mięśniowego i naczyniowego.

Ale najważniejszą rzeczą przy każdej rozrywce jest odpowiednie do niej podejście pogodne i wesołe. Trzeba mieć dużo radości życia. Słuszna to zasada, że jeżeli kładziemy się do snu z wesołymi, pogodnymi myślami, to nie tylko lepiej wypoczywamy, ale nazajutrz z podwójnym zapałem możemy zaprząć się do codziennej pracy.

Dlatego też w Ameryce na przykład ludzie zawsze starają się kończyć dzień „na wesoło", spędzić wieczór w kinie, na dancingu, w teatrze w klubie sportowym lub w towarzystwie ludzi pogodnych, a broń Boże nie melancholików, zarażonych bakcylami wszelkich depresvi zmniejszających energię czynu.



Zaprojektowano już szereg kapeluszy jesiennych, stosownych do nowego rodzaju fryzur.

Pszczoły ks. Dobrodzieja

Ks. dr. Prybie — poświęcam.

NOWELA

— Pięknie dziś na świecie, słonecznie i świeżo — mówił rzeźwy, delikatny staruszek — ks. pleban dobrodziej, jak zwała go poczciwa, wysłużona gospodyni Agata.

— A no pięknie, proszę ks. dobrodzieja — przytwierdziła chętnie stara Agata.

Ksiądz machinalnie gładził czarne okładki brewiarza, a wzrok jego jasny z miłością obejmował wszystko dokoła. Tyle łagodnego, promiennego uczucia było w tych oczach błękitnych i tyle w twarzy pogodnej blasku, że patrzącemu nań z boku rodził się w myśli niezachwiany pewnik, iż to sam Stwórca obdarzył go błogosławieństwem zrozumienia piękna natury i dał mu duszę wzniosłą.

Staruszek długą chwilę wodził wzrokiem po łąkach przyległych, po skromnych chałupinach, pochylonych w serdecznym zasłuchaniu — w dźwięczne pogwarki wartkiego strumyka, co migotliwą w rannym słońcu falą przecinał dolinę; patrzył na drogę szeroką, szarą, leniwie wspinającą się po łagodnym zboczu wzgórza, na którym wznosił się piękny, stary kościół i mała plebania z drewnianą werandą.

Z jednej strony plebanii biegł, hen w dół, po drugim zboczu wzgórza, ogromny, owocowy sad księdza plebana.



Tam to z kolei powędrowało spojrzenie staruszka i pogłaskało radosną pieszczotą szeregi kolorowych domków zasobnej pasieki.

— Pszczółki pracują dziś ciężko, korzystając z bajecznej pogody po wczorajszym deszczu — chodźmy, Agato, poodkrywać ule.

Szybko powstał z drewnianej ławeczki, zdjął z kołka siatkę ochronną na twarz i podał ją Agacie, a sam włożył biały „kitel" pszczelarski i żbiegł po płytkich schodach werandki w głąb sadu.

Pasieka i jej raźny pracowity, a gwarliwy ludek pszczelarski — były jednym z wielkich umiłowań czynnego księdza plebana. Bo miał ksiądz pleban szerokie, otwarte serce i wiele nim ogarniał.

Więc miejsce poczesne i wielce ciepłe mieli w tym sercu czułym wszyscy mieszkańcy księżej parafii, tudzież wszyscy upośledzeni i słabi, wszyscy chorzy na ciele i duszy, wszyscy zgnębieni i głodni. Dla wszystkich starczyło księżego serca, księżego słowa, księżej opieki i litosnej, hojnej dłoni.

O, hojną, nad miarę i możną nad ludzkie zrozumienie była delikatna, przeźroczysta ręka dobrego księdza plebana. Niejedną, a dziesiątki też gorzkich przeróżnym ludziom otarła i niejednego wykolejeńca, niejednego bankruta, zarówno moralnie, jak i materialnie na nogi postawiła i z żelazną wsparła siłą. A czyniła to tak jakoś cicho, tak lekko i pogodnie, że nie zdążył zorientować się delikwent, iż ta sama wiotka dłoń brała go w posiadanie i swoje szlachetne szlaki wiodła.

Był rządcą dusz ludzkich ksiądz pleban. I był opiekunem wszelkiego słabego stworzenia. Lecz jako się rzekło, jednym z największych jego umiłowań, ba, wręcz słabością były — pszczoły.

Dobrodziej kochał ten ludek pracowity, ruchliwy i rządny. Podziwiał bezustanną, wytężoną pracę, twórczy zapał i energię tych stworzeń i za przykład ludziom je stawiał. Jedno tylko potajemnie smuciło staruszka — mianowicie bezwzględna czystka, jaką zaprowadzały co roku w swych siołach, mordując dziesiątki próżniaczych trutni.

— Prawda, że to próżniaki, nieroby; prawda, że zawadzają i tylko wyjadają z waszych spiżarń, ale... to wasi współbracia, więc trzeba mieć litość!

I po co to tak mordować — to boli... i szkoda... — monologował cicho, litośnie zgarniając ciemne masy pobojowców i niosąc je w głąb sadu na zieloną kępkę trawy.

Miał litość ksiądz dobrodziej i bolał nad wszelką przemocą, choć rozumiał jej wagę, choć uznawał! Taki już był, że pragnął widzieć wokoło siebie tylko radość i szczęście. A ponieważ bólów ludzkich znacznie więcej jest na świecie, niż szczęścia, więc z całym poświęceniem i ze spokojną siłą zabrał się ten ksiądz delikatny, często zapadający na zdrowiu, do dzieła miłosierdzia.

I z czasów tych — pogodna, dobrotliwa jego postać w niejednym sercu i niejednej pamięci przejasnym wyryła się obrazem. Miał on specjalny talent w odnajdywaniu wszelkich ludzkich ran i moralnych zadrapań i leczył je i koił doskonale.

Teraz spieszył do pasieki, kwiaty i krzewy głaszcząc po drodze. Raźno zabrali się z Agatą do pracy. Ona daszki przytrzymywała, a ksiądz wyjmował maty ochronne, strzepywał je i na słońcu układał. Po tym pszczółkom odlamki suszu z uli wymiatał, wody do ryneniek nalewał i t. d. Słowem, codzienną odbywał pracę w pasiece.

Wreszcie Agatę zwolnił, a sam przysiadł na pniu i patrzał.

Godzinami tak obserwował, analizował i wnikał w życie pszczele ks. proboszcz, a w długie wieczory zimowe siadał do stołu i pisał swój traktat o pszczołach. Był przyrodnikiem zamiłowanym i wykształconym stary ks. pleban.

Mówiono też o nim we wsi, że w dalekich, ciepłych krajach dawniej bywał, gdzie dzikich pogan nawracał i w chorobie leczył — aż sam nabawił się złośliwej febry i do kraju powrócił na zawsze.

Jedno było pewne, że pamiętali jego wprowadzenie do parafii tylko najstarsi i że na febrę rzeczywiście zapadał.

W takich wypadkach wynosiła mu stara Agata leżak na werandę lub do ogrodu, otulała grubym, włochatym pledem i gorliwie strzegła. Ksiądz leżał cicho, zgaszony, pobladły i tylko żyły w nim oczy niebieskie, ogromne!

Kładły się te oczy codzienną, zwykłą pieszczotą na drzewa rozszemrane, na chałupinki w dole, na chmurki na niebie, na pasiekę brzęczącą — i coraz się rozjaśniały, coraz więcej promieni w sobie skupiały, że wreszcie były niby ta modlitwa dziękczynna, którą cichutko szeptały wargi.

A kiedy paroksyzm minął, dobrodziej pogodnie powracał do pracy zwykłej i do swych pszczółek.

Jak zwykle napychał kieszenie cukierkami z miodu, które tak wybornie smażyła Agata — nakładał szeroki, słomkowy kapelusz i spieszył w dolinę do wioski.

Cukierki dla dzieci, słowa serdeczne dla matek, pogodne dla ojców niósł w dolinę ksiądz stary. I niósł zawsze złotówki dla biednych.

Takie to było zwykłe i takie już utarte, że nikt nie dziwił się księżym darom i nikt nie dziwił się połatanej sutannie!...

Pleban zaś najmniej.

Cóż dla tego księdza znaczyła zniszczona sutanna lub pusta spiżarnia w plebanii, gdy on, gdyby tylko miał nową — gotów był ją przy najbliższej okazji pokroić na ubranka dla biednych dzieci, zaś spiżarnię z rozbrajającym wdziękiem otwierać na oścież przed lada narzekającym zgłodnialcem.

Bywało, cieszy się Agata, że parafianki zaopatrzyły ją w szereg dobrych rzeczy i że starczy tego na czas jakiś — a tu dobrodziej kręci się jakoś niepewnie, macha ręką i wyraźnie ma coś na sumieniu:

— Bo to widzi Agata, taki był bardzo mizerny...

Agata zazwyczaj wiedziała już resztę. — Spiżarnia pusta, a dobrodziejowi krupy będę warzyła przez cały tydzień — groziła zrzędliwie.

Ksiądz pleban bał się krup, jak ognia, niemniej godził się na nie potulnie, byle tylko uniknąć dłuższych peror starej.

I rzeczywiście jadł je przez dwa dni, a na trzeci chwytał swój rozłożysty słomkowy kapelusz i chyżo zbiegał w dolinę na obiad.

Zaś wieś szczęśliwa była, gdy mogła serdecznie swego opiekuna ugościć. Dbała też o niego wielce i gdyby nie to, że wszystko rozsiewał po biednych, mógłby z łatwością opływać we wszystko.

Był też zadowolony z życia i ludzi ks. pleban dobrodziej, a szczęście jasne i pogoda serdeczna biły od niego na całe otoczenie.

Tylko raz zdarzyła się rzecz brzydka. Otóż jego, który nic właściwie nie posiadał i wszystko sam rozdawał ochotnie — spotkała krzywda. Jacyś obrzydliwi złoczyńcy zabrali w nocy i uwięzili wszystkie ule!...

Zgrzyt się okrutnie stary ks. pleban, aż mu biała mgiełka bladości osiadła na wargi i paroksyzm febry naszedł. Trząsł się biedaczek na leżaku i spozierał w pusty sad, lecz zawiadomić policji stanowczo nie pozwalał.

Stara Agata naprzód zbeczała się okropnie, a potem poleciała do wsi ze skargą. Zawrzało w dolinie i kto żył zebrał się do oberżystki Wikty na naradę.

Radzili ze dwie godziny i wreszcie spokojnie się rozeszli. Co uradzili, nie wiadomo. Tylko w półtorej godziny później, stara żebraczka Rózia z walnym chłopakiem Wikty — z tym, co go ksiądz wyratował z ognia — ruszyła w świat na żebry...

Tu i ówdzie wychylała się jasna zapaska gospodyni i głośne żegnało ją: z Bogiem!

A stara kroczyła wartko i coś do siebie pochmurnie mamrotała, zamiast, jak zwykle, jękliwie wyśpiewywać godzinki i monotonnie szeptać pacierze.

W tych mamrotach często powtarzało się imię ks. dobrodzieja i jakieś rozrzewnione skargi:

— Wyraczył biedula jasne gałuszki i smuci się, że pszczółek nie ma. Leży to ciche, spokojne i ani chce słuchać o policji! Widzisz go, dobrodziej! Pszczoły by rozdał złodziejom, jak-

by nie dość dawał swoim... Widzisz go!...

I chory biedula... A bodaj ich! — porywała się gwałtownie, że z chrzęstem uderzały o siebie sakwy żebracze i tłukły się koło rozfalowanej spódnicy. Pędziła niczym wartka kula, a obok niej czerwony z pospiechu syn Wikty.

— — — — — — —

Coś trzeciej nocy zabrzmiał przytłumiony gwar we wsi i z cichym skrzypem wyruszyły dwa ogromne wozy i sześć silnych chłopa — w drogę.

Wikta wsunęła synkowi spore zawiniątko w kieszeń i pożegnała wszystkich półgłośnym: dopomóż Bóg!

Pojechali... A reszta chwilę słuchała dalekich turkotów i niespokojnie spozierała w oświetlone okno plebanii, aż wreszcie rozeszła się po domach.

Cisza ogromna zaległa dolinę i cisza była na wzgórzu, w plebance, gdzie modlił się chory ks. proboszcz.

— — — — — — —

A na drugi dzień rano, stary ks. pleban zerwał się gwałtownie z leżaka na werandzie, oczom nie wierząc: przecież tam, w sadzie kolorowiły się barwne ule, jak kilka dni temu, jak zawsze!? Przecież w równym szeregu stoją kwadratowe domki Dadanta, okrągłe koszki i te inne, księżego pomysłu!...

Ach, zapomniał o febrze i smutku, zapomniał o wszystkim i rozjaśniony, promienny biegł do pasieki...

Mirania Galińska.

ŚWIAT i ŻYCIE

W pogoni za niemożliwością

Od niepamiętnych czasów ludzie starali się ułatwić sobie życie, oraz rozszerzyć zakres swych możliwości i umiejętności. Przeważnie prowadziło ich zbawienne światło intelektu i doprowadzało do przełomowych odkryć i wynalazków, często jednak schodzili na dalekie manowce.

W ciemnocie średniowiecza narodziła się dziwna mrzonka o kamieniu filozoficznym, czy cudownym proszku, który ma moc zamiany wszelkich substancyj w złoto. Z licznych i wytrwałych poszukiwań powstał cały system który urósł do rozmiarów pseudo-nauki, zwanej alchemią. Wyznawcy jej trawili nad tyglami i retortami całe życie, zaś chciwi złota królowie i książęta, skrycie ich finansowali. Był okres, kiedy posiadanie nadwornego alchemika należało do dobrego tonu, mimo, że dopuszczali się oni coraz liczniejszych i sprytniejszych oszustw. Praca, którą ponosili ci poszukiwacze często dla zysku, lecz czasem i dla idei nie poszła jednak całkowicie na marne, gdyż wielu dokonało przy tej sposobności ważnych odkryć z dziedziny budowy materii i ugruntowało przez to zasady na których rozwijać się zaczęła imponująca dziś ogromem i doskonałością chemia.

Gdyby w tych dawnych czasach udało się nawet wyprodukować kamień filozoficzny, to w rezultacie narobiono by tyle złota, że utraciłoby ono wartość, a dziś jego panującą rolę spełniałby prawdopodobnie inny metal.

Z drugiej strony nowoczesna nauka udowodniła, że robienie złota, jakkolwiek na innej całkiem drodze, nie jest jednak beznadziejną niemożliwością, lecz nie opłacało by się, gdyż koszty produkcji przewyższałyby wielokrotnie wartość produktu.

Do innego rodzaju mrzonek umysłowych należy kilka nierozwiązalnych zagadnień matematycznych z których najpopularniejszą jest, pokutująca od starożytności, t. zw. kwadratura koła, która stała się dziś synonimem niemożliwości. Chodzi tu o zbudowanie takiego kwadratu, którego powierzchnia byłaby ściśle równa powierzchni danego koła. Jakkolwiek dawno udowodniono, jak dwa razy dwa cztery, że jest to zagadnienie nierozwiązalne, jednak jeszcze i dzisiaj zjawia się czasami w tym lub owym uniwersytecie list amatora-matematyka, zawierający rzekomo poprawne wywody na ten temat,

Najwięcej jednak hałasu robiło, a nawet robi i dotychczas słynne perpetuum mobile, (dosłownie: „zawsze ruchome"), Są to pewne machiny, których tajemnica przez długie wieki spędzała sen z oczu niejednego wynalazcy.

Istnieją tu zagadnienia dwóch rodzajów:

Pierwszy polega na skonstruowaniu maszyny, która natychmiast po przekręceniu ostatniej śrubki porusza się wiecznie, wykonując pracę, lecz nie zużywając na to wcale energii. Byłby to oczywiście, wspaniały wynalazek uniezależniający — wszelkie zakłady przemysłowe od kopalń, węgla, prądu elektrycznego, pary lub wody, skąd dotychczas czerpią potrzebne zapasy energii. Niestety pomysł takiej maszyny zrodzić się mógł tylko w umysłach ludzi, nieznających gruntownie praw natury. Dzisiaj wiemy dokładnie, że ogrzanie mieszkania, wytworzenie pary wodnej lub prądu elektrycznego wymaga spalenia odpowiednich ilości węgla, że poruszanie się olbrzymich turbin warunkowane jest spadaniem wody z wielkich wysokości, a choć by uderzenie młota kowalskiego możliwe jest po uprzednim podniesieniu go w górę. Słowem każde zjawisko wymaga innego zjawiska, a każda forma energii łączy się z inną jej formą. Fizyka ujęła te prawdy w t. zw. zasadę zachowania energii, która głosi, że energia przechodzi ustawicznie z jednych form w drugie, nie ginąc przy tym lecz ulegając ciągłym zmianom. — Wszelkie zjawisko może się więc odbyć tylko na koszt innego zjawiska. W rezultacie i ruch wszelkiej maszynerii warunkowany być musi dopływem energii z zewnątrz, a więc opisane perpetuum mobile, które pracowałoby, nie pobierając energii — jest absurdem.

Wspomniane przemiany energii odbywają się zawsze w takim kierunku, że nowa jej forma jest mniej zdolna od dalszych przemian. Jeżeli na przykład woda spada z wysokiego progu skalnego, to może po drodze obracać turbinę, lecz gdy potem płynie przez równinę, to pracy takiej już nie wykona. Podobnie rozpalony piec ogrzeje pokój, lecz ciepło rozproszone w ten sposób nie może ju ogrzać w tymże stopniu innego pokoju. Nigdy też nie obserwowano zjawisk przebiegających odwrotnie. Woda nigdy nie popłynie sama przez się pod górę, a w niskiej temperaturze nigdy nie powstanie samorzutnie temperatura wyższa. Dlatego też nie jest możliwe zbudowanie t. zw. perpetuum mobile drugiego rodzaju, czyli maszyny, która czerpałaby energię z otoczenia, bez poddawania jej dalszym przemianom.

Gdyby to było chociaż w przybliżeniu możliwe, to znowu na czas dłuższy uwolnilibyśmy się od zużywania węgla, czerpiąc ciepło wprost z otoczenia. W oceanach, które jak wiadomo zajmują ogromną większość powierzchni ziemi, zawierają się olbrzymie zapasy ciepła, które mogłyby przez dłuższy czas uruchamiać wszystkie fabryki świata. Niestety, ciepło to musiałoby przepływać z miejsca na miejsce, t. zn. temperatura oceanów musiałaby spadać zaś na to musielibyśmy wytworzyć gdzieś na ziemi bardzo niską temperaturę. Nie jest to wprawdzie niemożliwe, lecz koszta byłyby niewspółmiernie wysokie.

Gdy ostatni z licznych dziś konstruktorów „wiecznej maszyny" pogodzi się z jej niedorzecznością, nie będzie to bynajmniej oznaczało, że ludzkość przestała uganiać się za niemożliwym. Otóż już zbyt często wysuwa się kwestia podróży międzyplanetarnych, a przedsięwzięcia takie nie wydają się przy dzisiejszym stanie wiedzy, możliwymi. Jest to więc znowu zagadnienie, które przez długie wieki niepokoić będzie umysły ludzkie.

Zależność wypadków od pory dnia

Przeprowadzone badania na ten szczególny jakby się zdawało temat, przyniosły niezmiernie ciekawe, aczkolwiek bardzo rozbieżne wyniki. Oto np. znany badacz niemiecki Hildebrandt twierdzi na podstawie materiałów jednego z zakładów berlińskich, iż pora dnia ma wpływ bardzo znaczny na powstawanie wypadków. W „Hygiène du Travail" wyrażony jest pogląd, że wzrastanie liczby wypadków w ciągu przedpołudnia nie jest wywołane przez wzrastające zmęczenie, ponieważ ta sama załoga w porze nocnej wykazuje wręcz przeciwnie — obniżanie się liczby wypadków w ciągu trwania pracy. Fakt ten należy tłumaczyć tym, że robotnicy dzienni przychodzą niewyspani.

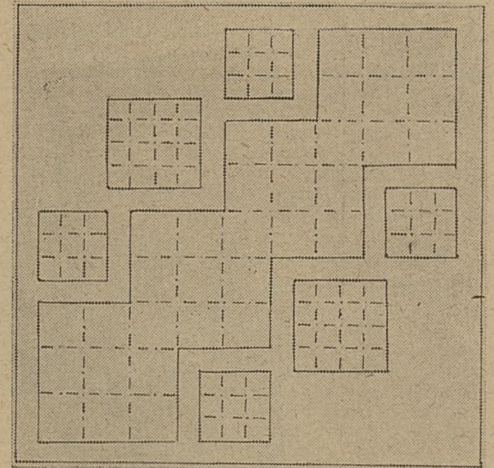
Z krótkiego tego zarysu możemy wnosić, iż próba skoordynowania wysiłków i najlepszego spożytkowania dostępnych środków propagandowych jest inicjatywą godną uwagi, tym donioślejszą, iż stanowić może drogowskaz dla rozwoju innych akcyj, tak często niestety prowadzonych po dyletancku.

Walka z owadami

Najgroźniejszy wróg rolnika — szkodliwe owady, skazane są na wytępienie. Światło, dźwięk i elektryczność połączone w odpowiednim aparacie, zwanym żartobliwie pułapką na owady, pozwoliły na zniszczenie setek tysięcy tych szkodników. W plantacjach kalifornijskich zdołano przy pomocy jednej takiej pułapki zniszczyć około 100 litrów owadów, w ciągu czterech nocy. Jedyną niepraktyczną stroną tego wynalazku jest to, że niszczy on wszystkie owady bez różnicy, zarówno szkodliwe, jak i pożyteczne. W pobliżu Bostonu zastosowano tak zwaną pułapkę dźwiękową, która wabiła owady reagujące tylko na daną wysokość — dźwięku. Pułapkę połączono z prądem elektrycznym, który zabijał owady.

ŁAMIGŁÓWKA MAGICZNĄ

ul. Jan Feliks Płóciennik



W wolne kratki należy wpisać wyrazy, aby czytane poziomo i pionowo jednakowo brzmiały.

Znaczenie wyrazów:

Schody magiczne: 1) Zwierzę leśne. 2) Imię żeńskie zdrobn. 3) Zwierzę leśne. 4) Rzeka w Polsce. 5) Miejsce przedstawień w cyrku. 6) Rzeka w afryce. 7) Imię żeńskie. 8) Cząć twarzy. 9) Najlepsi aktorzy, inaczej.

Kwadrat mag. I. 1) Bór, in. 2) Imię żeńskie zdrobn. 3) Ogród owocowy.

Kwadrat mag. II. 1) Ukochana, in. 2) Czar, in. 3) Panna do dzieci. 4) Bluza wiejska (wspak).

Kwadrat mag. III. 1) Okres czasu. 2) Skorupiak. 3) Część przedstawienia.

Kwadrat mag. IV. 1) Imię męskie zdrobn. 2) Imię żeńskie w obcym języku. 3) Zamęt, in.

Kwadrat mag. V. Narzędzie rolnicze. 2) Drogi kamień. 3) Imię żeńskie. 4) Pokój dla zebrań i zabaw (wspak).

Kwadrat mag. VI. 1) Większy zagajnik. 2) Imię żeńskie zdrobniałe. 3) Powieść M. Gawalewicza.

NOWE ZADANIA ROZRYWKOWE

pod. Piotr Semeniuk

Co to jest?

a) „Dobre dyni z o. parafii".
b) „A tu nasz Kujawiaczek".
c) „Wilia A. Hen. Stanowicza".

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dn. 9 września br.

Rozwiązanie zadań z nr. 34 „Moich Powieści":

I. Łamigłówka: 1) koperta. 2) Nazaret. 3) Przetak.

II. Dopełnianka: „Tylko na małych kamieniach potyka się człowiek — wielkie omija".

Roderick

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Moroz Ignacy — Jasło, Rosiak Stanisław — Dębie n. Nerem, Kierepkowa Wilhelmina — Budzanów k. Trembowli, Janowski Wacław — Toruń, Włosowicz M. — Latowice. Tadeusz Łubnica - Nadobnik Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. Morozowi z Jasła i p. Janowskiemu z Torunia.

Radio

Niedziela, dnia 4 września 1938 r.

7.15 Pieśń „Już od rana rozśpiewana" 9.15 Transmisja nabożeństwa z kościoła SS. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie. Po nabożeństwie muzyka. 11.30 Wręczenie nagród zwycięzcom w zawodach krótkofalowych transmitowanych z Dorocznej Wystawy Radiowej 12.03 Poranek symfoniczny 13.00 „Miłość w życiu Zapolskiej" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa transmisja z pawilonu radiowego na Targach Wschodnich we Lwowie 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Teatr Wyobraźni „Dramat o królowej Jadwidze" — Franciszka Teodora Osokora 17.00 Recital na klawesynie w wykonaniu Rachelle Thauvoye 17.30 Tygodnik dźwiękowy 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie" z Dorocznej Wystawy Radiowej 20.05 Gra Ignacy Paderewski — nowe nagrania na płytach 21.00 „W gabinecie pana doktora" — wesoła audycja 22.00 „Aida" — reportaż operowy.

Poniedziałek, dnia 5 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Muzyka 12.03 Audycja południowa z Katowic 15.15 Pożar na jachcie „Temida" — opow. dla dzieci starszych 16.00 Lekka muzyka włoska 16.45 Miasto, w którym zaklęta jest dusza Japonii — felieton Romana Fajansa 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radiowej 19.30 „Karty z zaczarowanej księgi" — koncert rozrywkowy 21.00 Koncert rozrywkowy 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — XIII audycja.

Wtorek, dnia 6 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Audycja dla szkół 15.15 „Przygoda Marcelianka Majstra Klepki" 16.00 Koncert Rozgłośni Lwowskiej 16.45 „Od Tatr do stratosfery" opow. Konst. Jodko-Narkiewicza 17.00 Muzyka taneczna i rozrywkowa 18.10 Paganini w muzyce fortepianowej 19.00 Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet F-dur 19.30 „Tylko dla dorosłych" — I-sza część koncertu rozrywkowego Dorocznej Wystawy Radiowej 21.00 Audycja dla wsi 21.10 II-ga część koncertu rozrywkowego p. t. „Tylko dla dorosłych" z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Audycja z okazji rocznicy urodzin króla Jugosławii Piotra II 22.00 Muzyka.

Środa, dnia 7 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Audycja dla szkół: „Na kojcowej hali" — słuchowisko 11.25 Muzyka 16.00 Koncert zespołu Pawła Rynasa 16.45 Okręty podwodne — odczyt 17.00 Muzyka taneczna. W przerwie program na jutro 18.10 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej 19.30 „Kobieta, wino i śpiew" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zbigniewa Drzewieckiego z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Czwartek, dnia 8 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Góry nasze, góry — poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.25 Muzyka 15.15 Po dialogach i ścieżkach — pog. Wacława Frenkla 16.00 Muzyka rozrywkowa 17.00 1000 taktów muzyki w wykonaniu zwiększonego zespołu Stefana Rachonia 18.10 „Tu Kujawy, tam Kujawy, są tam chłopcy do zabawy" — wykona chór chłopców szkoły powszechnej nr. 5 z Torunia 18.30 „Alarm we krwi" 19.00 Edward Grieg: Sonata skrzypcowa nr. 1 op. 8 19.30 „Wspomnienia z teatru" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 9 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Audycja dla szkół 15.30 Reportaż z zradiofonizowanego szpitala w Poznaniu 16.05 Potpourri z operetek Pawła Abrahama 16.45 Małopolska Wschodnia z okna wagonu 17.00 Muzyka taneczna i rozrywkowa. W przerwie program na jutro 18.10 Z fortepianowej twórczości Schuberta 19.00 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa 19.30 „Płoteczki na wystawie" — I-sza część koncertu rozrywkowego z Dorocznej Wystawy Radiowej 21.00 Audycja dla wsi 21.10 II-ga część koncertu rozrywkowego z Dorocznej Wystawy Radiowej 22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, dnia 10 września 1938 r.

6.15 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 11.00 Audycja dla szkół: „Śpiewajmy piosenki" 11.25 Muzyka 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci p. t. „Krakowianka jedna miała chłopca z drewna" 16.00 Gdy mandoliny zadźwięczą — koncert 17.00 Muzyka taneczna z Dorocznej Wystawy Radiowej 19.30 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Z pieśnią i tańcem przez Wielkopolskę 22.00 Koncert.

HUMOR

WYBORY I KOBIETY

— Jak będziesz głosowała podczas następnych wyborów?

— Nie wiem jeszcze... pewnie w fokowym futrze i ponsowym aksamitnym kapeluszu.

ZEMSTA

Do biura pośrednictwa służby domowej wpada mocno podenerwowany pan, chwyta właściciela biura za marynarkę i krzyczy: „Czy to pan nam polecił nową kucharkę?"

— Ja.

— Tak, to marsz ze mną, będzie pan z nami jadł obiad.

SPOSÓB

— Michał, ja myślę, że już najwyższy czas wydać za mąż naszą córkę.

— Wiem o tym, trzeba jednak czekać, aż zjawi się ktoś, komu się ona spodoba.

— Dobryś sobie. A czy ja tak długo czekałam?

MA RACJĘ...

— Ile lat życia pan sobie liczy?

— 27.

— A dlaczego w paszporcie napisano, że 31?

— Bo cztery lata mieszkałem w Rosji.

— Więc jednak żyje pan 31 lat.

— Tak, ale czy te cztery lata w Rosji bolszewickiej można nazwać życiem?

— Janku, nie podchodź zbyt blisko białych niedźwiedzi, bo się przeziębisz!

MOŻESZ

— Papciu, czy mogę zabrać pianino, jak wyjdę za mąż?

— Możesz, dziecko, nie mów tylko o tym narzeczonemu!

ZŁE SKUTKI

— Gdy się kieruje autem, nie można nigdy odwracać uwagi od kierownicy, bo zaraz gotowe nieszczęście. Ja tylko raz zapomniałem o tym i pocałowałem moją towarzyszkę...

— No i przyjechałeś kogo?

— To nie, ale w trzy miesiące po tym ożeniłem się z tą kobietą.

SZTUKA STOSOWANA

— Powiedzcie mi gosposiu — pyta gość zakopiański — czym robicie te piękne desenie na plackach. Musicie mieć do tego jakieś osobne wzory i narzędzia.

— E, gdzietam, wielmożny panie — odpowiada gospodyni. — Dyć zwyczajnie się robi grzebieniem od czesania włosów.

MIŁY SYNUŚ

— Tatusiu, mój drogi, kup mi trąbkę!

— Ależ moje dziecko, trąbiłbyś mi tak ciągle nad uszami, że nie mógłbym pracować.

— O nie tatusiu, ja nie chcę przeszkadzać w pracy, będę trąbił tylko wtedy, gdy tatuś będzie spał.

U DENTYSTY

Pacjentka boi się wyjęcia zęba. Dentysta uspakaja ją. — To jedna chwilka. Proszę tylko ścisnąć mocno zęby i szeroko otworzyć usta.

GDY KOBIETY POLITYKUJĄ...

— Cóżeś taki posiniaczony? Kto cię tak poturbował?

— Et, głupstwo... Widzisz, ja jestem postępowiec, a żona konserwatystka. Ja byłem za równouprawnieniem kobiet, a żona przekonała mnie, że kobiety są płcią słabszą.

DOBRZE KOMBINUJE

— Tatusiu, czy to prawda, że należy płacić dobrem za złe?

— Tak, moje dziecko.

— To niech tatuś da mi złotówkę. Przed chwileczką zbiłem szybę.

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Mecenas L. spotyka w kawiarni młodą aktorkę K.:

— Winszuję, winszuję! Słyszałem, że się pani zaręczyła!

— Już zerwałam zaręczyny!

— Tak? A kto jest tym szczęśliwcem?

NIE UDAŁO SIĘ

Do kasy biletowej na dworcu podchodzi pani z chłopczykiem.

— Proszę półtora biletu do Warszawy.

— Do kogo połówka? — pyta kasjer.

— Dla tego chłopczyka...

— Czy on jeszcze nie ma dwunastu lat?...

— On?... Skąd?... Dopiero skończył dziesięć!...

— No, to musi mieć cały bilet, bo tylko dzieci do lat 10-ciu płacą połowę!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50. kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.